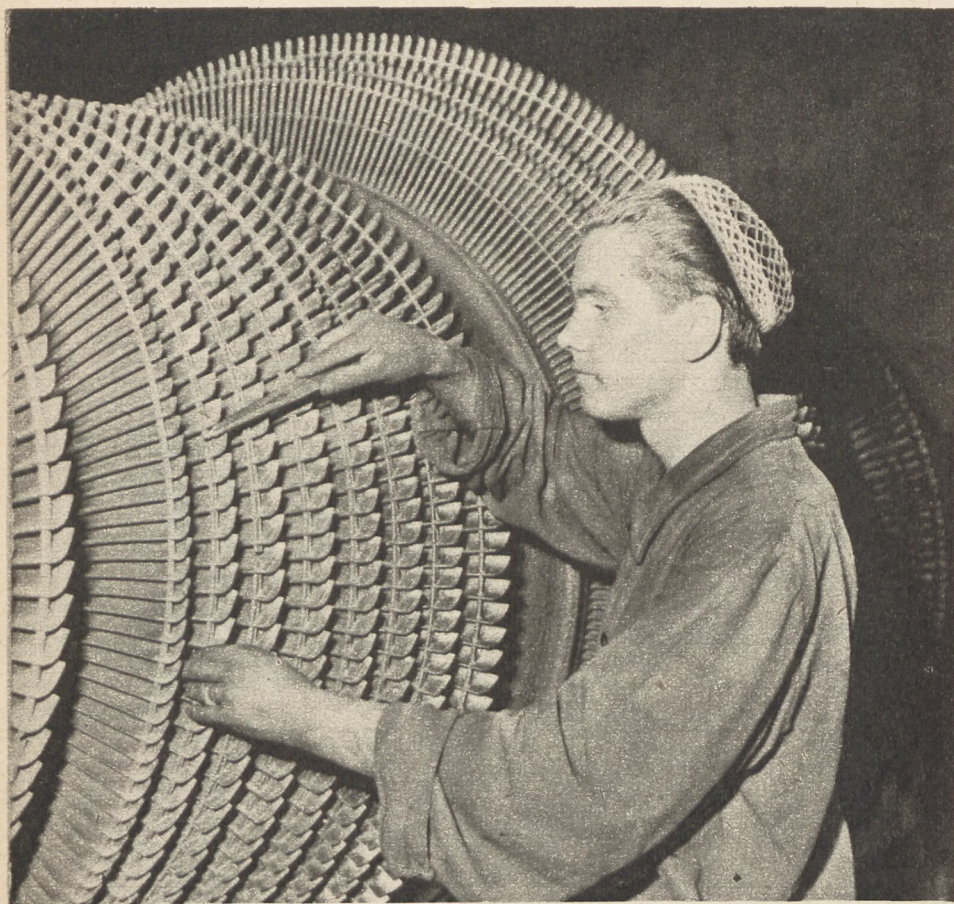




NA KANALE WOŁGA-DON

ROZPOCZĄŁ SIĘ JUŻ RUCH. OTO WIDZIMY
STATEK MOTOROWY, KTÓRY PRZEPROWADZIŁ
DWIE PRZYSTANIE PŁYWAJĄCE PRZEZ GÓRNE
WROTA ŚLUZY NR 1 (PATRZ REPORTAŻ
WEWNĄTRZ NUMERU NA STR. 12 I 13)

PRZED ZŁOTEM MŁODZIEŻY



CAF
Dla uczczenia lipcowego Złotu brygada młodzieżowa Elektrowni Warszawskiej postanowiła skrócić o 12 procent czas remontu generalnego turbogeneratora.

W 80 ROCZNICĘ ŚMIERCI MONIUSZKI



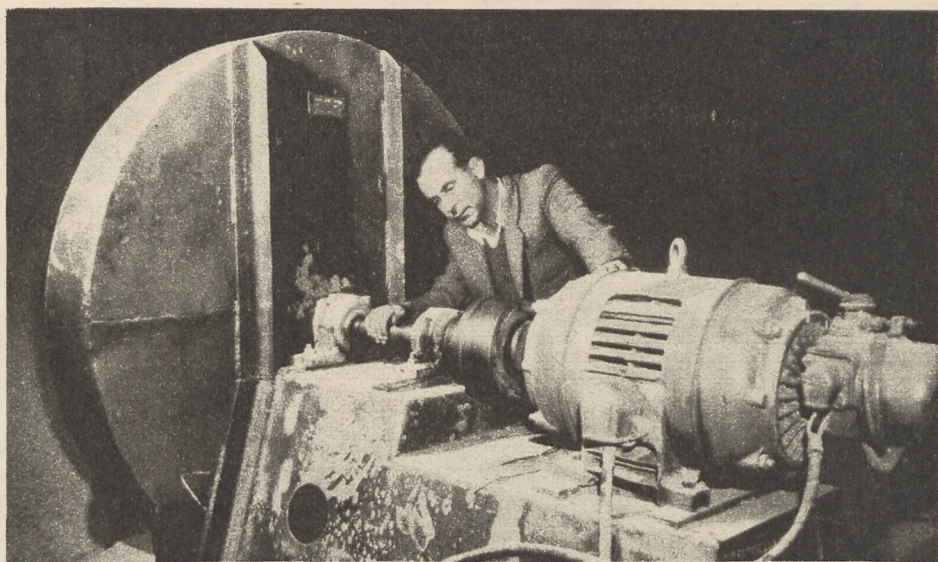
CAF
W 80 rocznicę śmierci wielkiego kompozytora, Stanisława Moniuszki, przedstawiciele władz i świata artystycznego Stolicy złożyli wieńce na Jego grobie.

BYŁY ROBOTNIK DYREKTOREM



CAF
Stanowisko naczelnego dyrektora Zgierskich Zakładów Przemysłu Bawełnianego objął J. Stańczyk, były robotnik.

CENNA RACJONALIZACJA



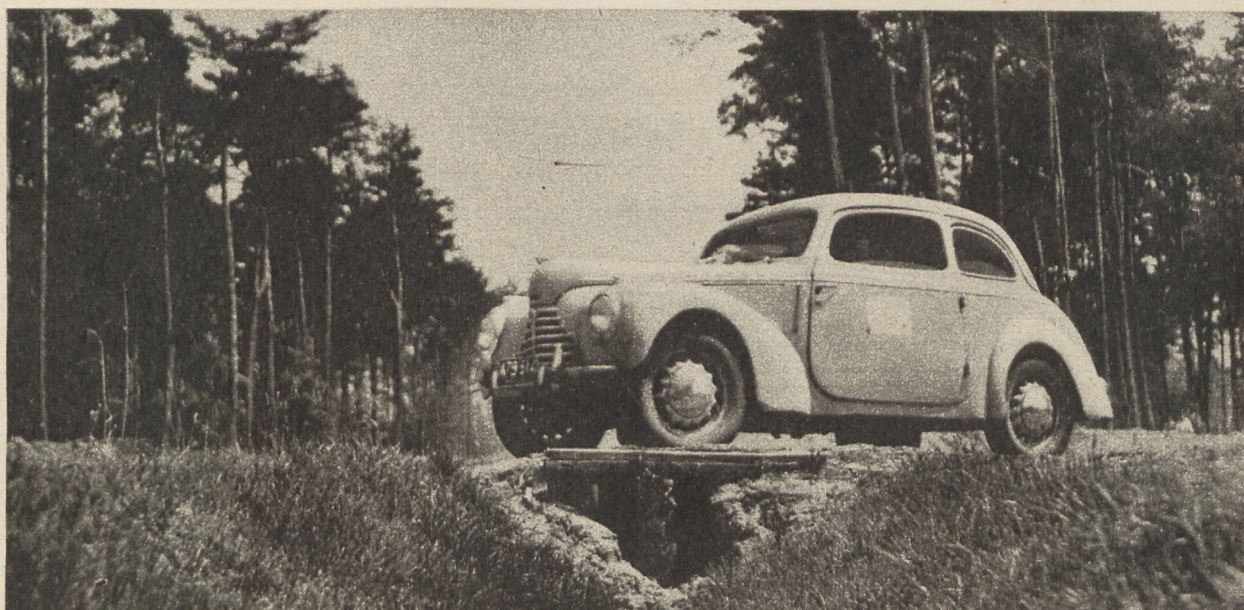
CAF
Wojciech Wirga, racjonalizator z Zakładów Przemysłu Tłuszczowego w Brzegu, skonstruował wentylator do transportowania ziarn soli, zastępujący pracę 36 ludzi.

UROCZYSTOŚCI W CZARNOLESIE



„ŚWIAT”
W Czarnolesie, gdzie żył i tworzył wielki poeta polskiego Renesansu — Jan Kochanowski, odbyło się odsłonięcie zrekonstruowanego pomnika autora „Trenów”.

KONKURS JAZDY SAMOCHODOWEJ



CAF
Polski Związek Motorowy zorganizował samochodową jazdę konkursową dla zawodników I klasy, którzy przeszli próbę sprawności technicznej, zręczności i jazdy terenowej. Konkurs miał duże powodzenie wśród kierowców.

PRZECIWKO PLANOM AGRESJI



MULLER — Paryż

Pomimo brutalnych represji policyjnych, ludność Francji protestowała masowo przeciwko przyjazdowi gen. Ridgwaya.

NARÓD AUSTRII PRAGNIE POKOJU



Mieszkańcy Wiednia demonstrujący przeciw agresywnemu „układowi ogólnemu” prowadzili przez miasto makiety czołgów z napisami protestującymi przeciw zbrojeniom i przygotowywaniu nowej wojny.

POGRZEB MARII MICKIEWICZ



LOUVION

30 maja zwłoki Marii Mickiewicz, wnuczki wielkiego pisarza, spoczęły na cmentarzu paryskim. W żałobnych uroczystościach uczestniczyła Polonia francuska.

WYSTAWA PRAC T. KULISIEWICZA — W BRUKSELI



BELGA — Bruksela

W Brukseli otwarto niedawno wystawę prac znakomitego grafika polskiego, profesora Tadeusza Kulisiewicza.

„MŁODOŚĆ CHOPINA” W PARYŻU



LOUVION

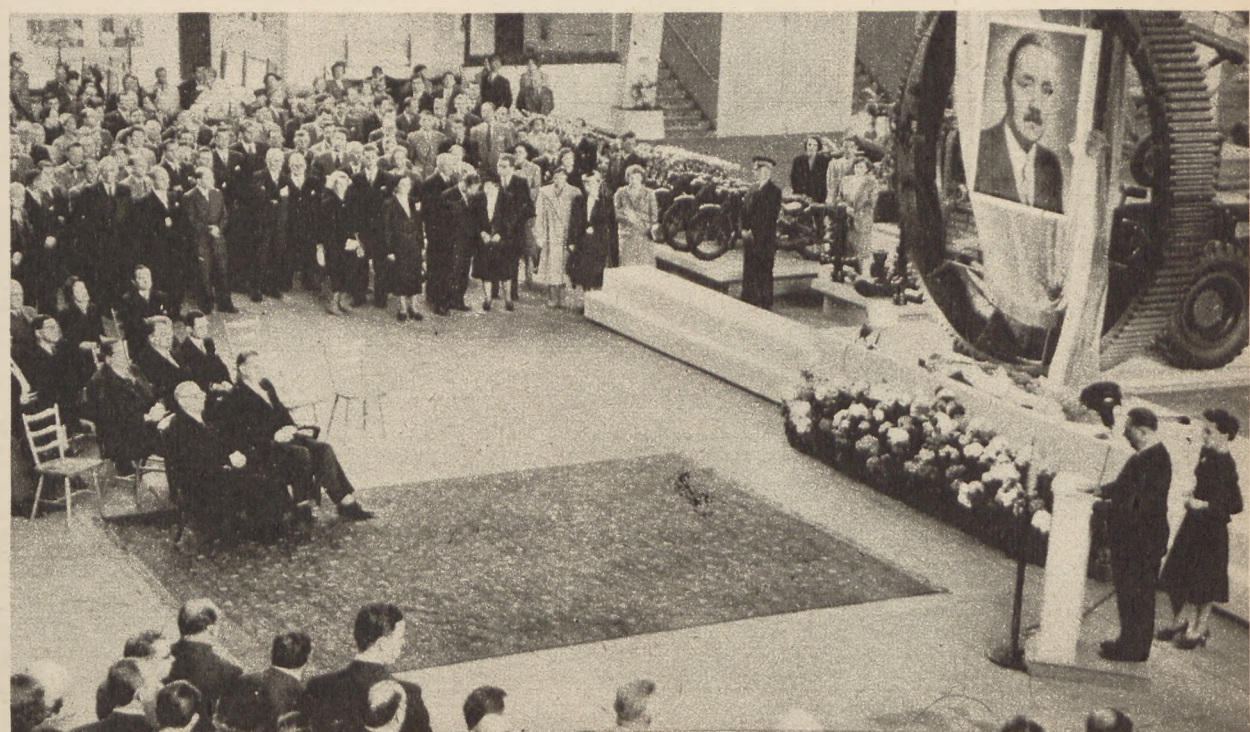
Na ekrany kin francuskich wszedł najnowszy polski film — „Młodość Chopina”. Film cieszy się wielkim powodzeniem publiczności francuskiej i cudzoziemców.

ODBUDOWA HITLEROWSKIEGO WEHRMACHTU



Wbrew woli całego narodu niemieckiego, rząd Adenauera odbudowuje hitlerowski Wehrmacht. Faszystowscy żołdacy zaopatrzeni są w amerykańską broń i mundury.

HANDLOWO-GOSPODARCZA WYSTAWA W HELSINKACH



Żywe zainteresowanie społeczeństwa fińskiego wzbudza polska Wystawa Handlowo-Gospodarcza w Helsinkach. Na otwarciu obecny był Prezydent Finlandii Paasikivi, członkowie rządu oraz korpus dyplomatyczny.

DZIEŃ PRZESTROGI DLA IMPERIALIZMU

MATEUSZ KERR

ZACZEŁO się dziesięć lat temu. Dokładnie — 22 czerwca. Nad ranem. Nadleciały samoloty. Miały na skrzydłach znaki rozpoznawcze śmierci. I od razu w błękit nieba nad Kijowem, Mińskiem i wielu innymi miastami Kraju Rad buchnął dym. Bo nadleciały hitlerowskie samoloty — tak jak przedtem zjawiały się na niebie nad Warszawą i Rotterdamem. Atenami i Londynem, siejąc śmierć, pożar i łzy.

Ruszyły starannie zakonspirowane nad granicą czołgi i artyleria, pułki i dywizje. Armia hitlerowska wdarła się na ziemię radziecką. Znienacką, podstępnie — tak jak przedtem wdarła się na ziemię polskie, norweskie, belgijskie, francuskie. I w tym miejscu kończą się analogie wojny, którą wszczął Hitler 22 czerwca 1941 roku, z wszystkimi poprzednimi wojnami opętanego frajtra. Wprawdzie Goebbels krzyczał — „Fuehrer rozpoczął nowy blitzkrieg“, ale to nie był, ani nie mógł być „blitzkrieg“; to był „todeskrieg“ — jak pisał później jeden z generałów hitlerowskich, to był początek końca hitleryzmu.

Napisałem: zaczęło się dziesięć lat temu. To nieścisłe. Zaczęło się znacznie wcześniej — od dnia zwycięstwa Rewolucji Październikowej, i trwało wtedy, gdy w „safesach“, starannie ukrywanych przed wzrokiem wścibskich, zaczęły gromadzić się dokumenty, sygnowane szyfrem oznaczającym „stawka na Hitlera“. Gdy setkami jawnych i tajnych kanałów popłynęły do Niemiec złoto i kredyty, broń i dyrektywy. Gdy zbrojono armię hitlerowską. Hitler — na szachownicy imperialistycznych planów Ameryki, Anglii i Francji — miał być „wielkim pionkiem“. Plan był prosty — armia nie-

miecka, hitlerowski Wehrmacht, zostanie wyposażony tak, aby stanowił najpotężniejszą armię świata, aby mógł wreszcie po pochłonięciu Austrii, Czechosłowacji, Polski — wymazać z mapy świata pierwsze w dziejach państwo socjalistyczne — sól w oku kapitalizmu.

22 czerwca 1941 roku reżyserzy hitlerowskiej krucjaty zatarli ręce z radości. Morgan, Du Pont, Armstrong, podobnie jak ich wspólnicy — Krupp czy Thyssen, za wcześniej jednak zaczęli cieszyć się bliskim — zdawało by się — zwycięstwem. Zapomnieli, przeciwko komu wystąpił Hitler, zapomnieli, na kogo podniósł łapę wykarmiony przez nich imperializm niemiecki. Zapomnieli, że przeciwnikiem pancernych dywizji Guderiana i Mannsteina jest państwo stworzone wysiłkiem milionów świadomych, wolnych ludzi, jest naród, który ma czego bronić i ma czym bronić.

Ludzie radzieccy zmienili wrębiarki i cyrkle na karabiny, kierownice traktorów na drążki motoru czołgów. Najpotężniejsza armia imperializmu natrafiła na opór scementowanego jak monolit narodu radzieckiego, pierwszej na świecie armii socjalistycznej.

Pola pod Moskwą — to był pierwszy wielki cmentarz hitleryzmu. Niejedno mógłby dziś o tym powiedzieć generał Guderian. Tylko że woli o tym nie pamiętać, nie za to pobiera dolary jako doradca amerykańskich naśladowców Hitlera.

Po Moskwie był Stalingrad. Hitlerowskiej bestii przelamano kregosłup. Potem był Kursk, Orzeł, Rostów i Leningrad. Bug i Wisła, Wał pomorski i Drezno. I czerwony sztandar nad Bramą Brandenburską. I gruz Reichskanzlei, gdzie kabotyńska śmierć zakończyła życie największego zbrodniarza „epoki pieców“. Żoł-

nierz radziecki wyzwolił nie tylko własną ojczyznę. Żołnierz radziecki przyniósł wolność Polsce i Czechosłowacji, Węgrom i Albanii, Rumunii i Bułgarii, wyzwolił Europę spod hitlerowskiej okupacji.

Zwycięstwo narodu radzieckiego, zwycięstwo, które głucha wściekłość wzbudziło w „sojusznikach“ trumanańskiego obozu, rojących sny o zagarnięciu łapami Hitlera, albo po jego trupie (teoria mr. Trumana i mr. Churchilla o wzajemnym wykrwawieniu) ziem radzieckich — zmieniło oblicze globu ziemskiego. Zmieniło oblicze stosunków społecznych i układu sił na tym globie. Ze sfery wpływów i rządów kapitału wypadło nie tylko sześć państw europejskich. Lud ujął władzę w swe ręce w Chinach, w północnej Korei, we wschodnich Niemczech.

Druga wojna światowa to była wielka, choć tragiczna, lekcja historii. Nie wszyscy jednak zrozumieli jej wymowę. Nie zrozumieli jej, a może raczej usiłują jej nie zrozumieć, naśladowcy Hitlera zza oceanu. Koncerny amerykańskie łakną krwi. Wall Street przelicza nadal krew ludzką na dywidendy. Szaleńcy z Białego Domu i Pentagonu roją sny, których próba realizacji stała się gwoździem do trumny ich ideowego mistrza. Marzy się im podbój Kraju Rad, marzy im się podbój tej jednej szóstej części globu, która stała się kontynentem pokoju. Zapominają o lekcji historii.

Pijani żądzą krwi generałowie i politykierzy dolara rysują plany, zamieszczają mapy, na których strzałki wskazują kierunki i punkty nalotów. W „Colliersach“ i „New York Timesach“ drukuje się plany strategiczne z kierunkami przyszłych agresji na Moskwę i Warszawę, Pekin i Pragę. Zapominają, że te plany już kiedyś były. Zapominają, jaki los spotkał autorów tych planów.

Opętani żądzą agresji, politykierzy dolara wiążą się z niedobitkami hitlerowskich „speców“ od wojny napastniczej. Zawierają układy i pakt, wymierzone swym ostrzem przeciw Związkowi Radzieckiemu i miłującym pokój narodom, przeciw naszym domom i dzieciom. Fachowcom od Oświęcimia i Kożedo mającą się nowe krematoria w „sferze wpływów do Uralu“. Chcą nieść pożogę wojny na kraj radziecki i na nasze ziemie.

Związek Radziecki... Pamiętacie? Serca były nadzieją, gdy poprzez trzask z nastawionego na Moskwę, ukrytego gdzieś głęboko radioodbiornika, płynęły słowa komunikatów o klęskach hitleryzmu — słowa otuchy. Pamiętacie? Ludzie powtarzali sobie najradośniejszą wieść — Stalin powiedział, że będzie święto na naszej ulicy. Związek Radziecki był nadzieją ludzkości. A ludzkość pamięta wszystko wbrew staraniom handlarzy śmierci.

Nigdy w historii naszego globu żaden kraj nie cieszył się taką miłością i podziwem, jakimi ludzkość otacza Związek Radziecki. Nigdy nie skupiały się wokół żadnego kraju tak potężne siły, jak te, które skupiają się dziś wokół Kraju Pokoju, Kraju budowniczych komunizmu, Kraju Stalina. Ludzkość wysnuła z wielkiej lekcji najważniejszy wniosek: Związek Radziecki jest gwarantem pokoju i szczęścia narodów.

Tego faktu nie chcą sobie uzmysłwić amerykańscy spadkobiercy hitleryzmu. Szczują przeciw Związkowi Radzieckiemu, bryzgają kłamstwami i oszczerstwami. Napróżno! Narody nie dają się oszukać. Handlarze śmierci szukają mięsa armatniego. Ale o ten „towar“ coraz trudniej na świecie. Zwrócili się więc tam, gdzie znaleźli mięso armatnie ich poprzednik. Ale tym razem pomylili się. Naród niemiecki nie ma krótkiej pamięci, naród niemiecki przyjął „układ ogólny“, przywracający okupowanemu Niemcom zachodnim rolę żandarma Europy — potężnym zrywem walki. I nie pomogą tu byli generałowie hitlerowscy — Guderianowie, Speidle, Mannsteiny i Rundstaedty. Powinni być nie doradcami prowokatorów agresji, ale symbolami ostrzeżenia, przypomnieniem „wielkiego lania“.

Przed kilku laty wydawało się, że nie ma i nie będzie większego zbrodniarza od Hitlera. Omyliliśmy się. Ridgway i Truman, Eisenhower i MacArthur dowiedli, że zbrodnia i mord nie były monopolem Hitlera. Korea ukazała narodom, co to jest amerykańska odmiana hitleryzmu. Kożedo prześcignęło Oświęcim. Generał Boatner stał się godnym następcą Himmlera. I dlatego nigdy ludzkość nie nienawidziła czegoś z taką siłą, jak nienawidzi dziś systemu, którego uosobieniem stała się Ameryka epoki Trumana.

W ciągu kilku lat powojennych grupa bankierów cofnęła Amerykę w najbliższe mroki barbarzyństwa. W ciągu tych samych kilku lat Związek Radziecki wyprzedził bieg historii o całą epokę. Związek Radziecki wkracza w epokę komunizmu, w epokę, w której człowiek tworzy morza, obala góry, zamienia pustynie w ogrody i tworzy zarazem potęgę, jakiej świat nie znał.

Narody widzą w rozwoju i osiągnięciach Związku Radzieckiego wizję własnej przyszłości, wizję własnego szczęścia. Narody widzą, że drogą wiodącą ku tej przyszłości jest droga pokoju. I widzą, że tej właśnie drogi broni Związek Radziecki. Kochają ten kraj, ufnie spoglądają w jutro i nie szczędzą sił, by bronić pokoju tak, jak uczy Stalin.

22 czerwca 1941 roku Hitler ośmielił się napaść na Związek Radziecki. Był to skok szaleńca w przepaść. Niech pamiętają o tym ci, którzy weszli na drogę Hitlera. Niech przypominają sobie włoskie przysłowie: kto nie chce się uczyć na lekcji, uczy się na własnej skórze. Dzień 22 czerwca, początek klęski hitleryzmu — to dzień przestrogi dla imperializmu.





LIPCOWE SPOTKANIE

WYRZUT rąk w przód, głowa pruje wodę, by za chwilę się wynurzyć, płuca nabierają powietrza — pływak zbliża się do mety. Czyjeś dłonie malują misterne wzory na porcelanie, i żeby szło składniej, jedni wyspecjalizowali się w kreśleniu cienkich kresek, inni w szerokich paskach, obręczą ujmujących filiżankę. Ktoś pochyla się nad wzorem trygonometrycznym, żeby na dobre zadomowił się w pamięci. Czyjeś wysiłki przekształciły się we wspólne przyrzeczenie, że polepszy się jakość wytopów, by określiła fabryka wykonała lepsze motocykle. Młodzi szybownicy, uczestnicy IX zawodów szybowcowych ustalają nowe rekordy. Inicjatywa młodzieżowej brygady doprowadziła do dwóch szybkościowych wytopów w ciągu jednej zmiany w hucie im. Dzierżyńskiego.

Więc „na lądzie, na wodzie i w powietrzu”, w umysłach, w sercach i w pamięci, przy pulpitach, obrabiarkach i traktorach toczy się walka, żeby lepiej i sprawniej i szybciej i piękniej. Żeby przyjechać do Warszawy na wielkie lipcowe spotkanie.

Pamiętam rozmowę podsłuchaną kiedyś na berlińskiej ulicy, wśród ruin, które zaroily się młodym tłumem podczas Zlotu młodzieży niemieckiej. Dwóch chłopców szukało drogi, widocznie zgubili swą grupę. Szli szybko, choć musieli okrążyć gruz jeszcze w tym zakątku nie uprzątniętym. Przyjechali z Warszawy w gościnę do FDJ. Kierowali się w stro-

nę teatru, gdzie zbiórke wyznaczono punktualnie, aby nie spóźnić się na występ baletu Moisiejewa. „Prędzej” — wołał pierwszy. — „Dobrze, dobrze — odparł drugi — nie popędzaj, ja już nawet nie umiem nie śpieszyć się w życiu”.

Pośpiech naszych czasów, wyrażony może nieświadomie w tych słowach, pobudza naszą młodzież do myśli, wysiłków, inicjatyw i czynów niepowszednich. I przedzłotowe współzawodnictwo, którego hasło dociera dziś do chłopców i dziewcząt z wszystkich krańców Polski, potęguje ten pośpiech, dodaje sił w owym marszu do przyszłości. Młode pokolenie naszych czasów jest bowiem pierwszym pokoleniem polskiej młodzieży, które naprawdę ma się do czego śpieszyć.

Do czegoż bowiem miała się śpieszyć młodzież w Polsce przedwojennej? Cóż czekało młodego chłopca czy dziewczynę po czterech lub ośmiu klasach szkoły, albo tych nawet, którzy z ciężkim trudem, nie dojadając, dobijali się matury! Jakież los gotowała młodemu robotnikowi czy młodej robotnicy fabryka kapitalisty, tuczącego się wyzyskiem pracy młodocianych! Jakież los gotowała chłop-skim synom i córkom ziemia w obszarniczym jarzmie!

Znam dobrze zdziwiony wzrok młodego chłopca, gdy mówi się dzisiaj o bezrobociu w Polsce sanacyjnej, albo zdumienie młodej dziewczyny, gdy słucha jak trudno było studiować przed wojną. I tylko przeżycia dorosłych, rodziców,

przyjaciół czy towarzyszy odślaniają przed dzisiejszą młodzieżą perspektywę wynikającą z porównania przeszłości z przyszłością.

Okres w którym żyjemy podnosi człowieka wzwyż, kształtuje jego wolę, wyzwała energię i pragnienia. Spójrzcie na szpalty „Sztandaru Młodych”, przy- patrzcie się naszym szkołom, przysłuchujcie się uważnie dyskusjom i rozmowom w ZMP, czytajcie listy od młodych przodowników pracy, ogarnijcie umysłem rozpiętość i rolę młodzieżowego współzawodnictwa w fabrykach czy w ośrodkach maszynowych, przyjrzyjcie się walce młodych pracowników z bumelantami i leniuchami! Wniosek jest prosty: nasza młodzież na spotkanie z przyszłością wychodzi śmiało — gdyż przyszłość nie ograbi jej z młodości, lecz tę młodość przedłuży i wzbogaci.

Zlot lipcowy będzie świętem i nagrodą dla tych, którzy najlepiej się uczą, pracują, malują, pływają, czy tańczą. Także dlatego jest on narzędziem kształtowania socjalistycznej świadomości, że mocno podkreśla i zacieśnia więź między pracą a rozrywką. Rozrywka i zabawa stają się nagrodą za pracę, wynikiem pracy, a nie ucieczką od niej.

Przybędą więc do Warszawy na wielkie lipcowe spotkanie owi najlepsi budowniczo wie, zetempowcy i niezorganizowani, wytapiający stal i wznoszący rusztowania, pokonujący opór wody czy powietrza, oracze ziemi czy twórcy pięk-

nej porcelany. Będą obradować i defilować, dyskutować i pływać, bawić się i tańczyć. Ale nie zapomną, nie zapomną ani na chwilę, że w tym samym czasie zbrodniarze, z których rozkazu zginął młody patriota niemiecki Filip Müller, wtrącają do więzień patriotów francuskich Duclos, Stila i Martin, zarażają dzumą koreańskie dzieci, masakrują młodych jeńców na wyspie Kożedo, wskrzeszają w Trizonii nową armię morderców. Ci sami zbrodniarze godzą i w nasze życie, w życie naszej młodzieży. I trzeba zewrzeć wszystkie nasze wysiłki, trzeba napiąć całą naszą wolę, wysiłki i wolę młodych i dorosłych, by pokrzyżować plany nowej masakry, by rozbiły się one o naszą wolę pokoju i gotowość obrony naszych osiągnięć.

Uczestnicy Zlotu znajdują się w mieście, w którym na każdej ulicy wola pokoju walczy ze skutkami wojny, przyszłość walczy z przeszłością. I właśnie zwycięstwo rusztowań nad ruinami odsłoni im perspektywę walki i jej zadania. Właśnie ów Plac na MDM i tempo prac przy budowie Pałacu Kultury uświadomi im, co może zdziałać, wbrew obciążeniom przeszłości, przebudowa społeczeństwa i człowieka, oparta na doświadczeniach i pomocy Kraju Socjalizmu.

Prędzej, sprawniej, lepiej, wyżej, piękniej, mądrzej — oto przedzłotowe wezwanie. Odpowiada na nie pierwsze szczęśliwe pokolenie młodzieży polskiej, które wie, dlaczego śmiało idzie w przyszłość.

KAMIŁA CHYLIŃSKA



DWA LATA WOJNY W KOREI

PIĘĆ PORAŻEK AGRESORÓW

JÓZEF SOŁTYS

50 lat temu wielki pisarz amerykański Mark Twain, wstrząśnięty bestialstwem wojsk amerykańskich na Filipinach, proponował wprowadzenie specjalnej flagi korsarskiej dla amerykańskich awantur imperialistycznych w Azji. „Zatrzymajmy starą flagę — pisał Mark Twain — tylko białe pasy na niej zamalujmy na czarno, a zamiast gwiazd namalujmy trupa i czaszkę i piszczele”.

Gniew i gorzkość wielkiego humanisty wywołały barbarzyństwo dokonywane na Filipinach przez generała Arthura MacArthura, ojca późniejszego kata Korei. „Wezwaliśmy naszą młodzież — pisał wówczas Twain — aby wzięta do rąk szablą broń i poszła na rozbój pod flagą, której w dawnych czasach obawiali się bandyci i nie uważali za swoją własną. Splamiliśmy honor Ameryki i zhańbiliśmy ją wobec całego świata”.

ZA KULISAMI AGRESJI

Pod koniec lata 1951 roku odbyła się dłuższa konferencja między gen. Ridgwayem a szefem „koreańskiej komisji ONZ”, Donaldem Kingsleyem, bliskim współpracownikiem dyktatora gospodarczego USA, Charlesa Wilsona. W czasie tej konferencji ujawnione zostały ważne przyczyny amerykańskiej agresji na Koreę. „Amerykańskie kota przemysłowe — oświadczył Kingsley — zainteresowane są w tym, aby oddziały ONZ zajęły obszary na północ od 38 równoleżnika, gdzie znajdują się wielkie pokłady wolframu, manganu i miki”. Jak podkreślił Kingsley, domagają się tego zarówno Charles Wilson, jak i Eugene Grace, prezydent „Bethlehem Steel Corporation” i Benjamin Fairless, prezes „US Steel Corporation”.

Wyznanie Kingsleya potwierdziło raz jeszcze znany fakt, iż jedną z przyczyn wojny w Korei było dążenie monopolistów amerykańskich do opanowania najbogatszych na świecie złóż wolframu, znajdujących się w północnej Korei. Na marginesie warto zauważyć, że do roku 1945, to znaczy do chwili unarodowienia bogactw naturalnych Korei Północnej, 62% udziałów w koreańskich kopalniach wolframu znajdowało się w rękach... generała Douglasa MacArthura. Baron Koyata Iwasaki, szef koncernu Mitsubishi, pilnował, aby nawet w okresie najbardziej zacieklej walk japońsko-amerykańskich podczas drugiej wojny światowej, wpływy na konto MacArthura przekazywane były jak najregularniej.

Toteż gdy 19 czerwca 1950 r. przybył do Południowej Korei osławiony „ambasador prowokacji”, przyjaciel MacArthura, John Foster Dulles, celem odbycia narady wojennej w pobliżu 38 równoleżnika — dla nikogo nie ulegało wątpliwości, że za jego plecami ukrywają się amerykańscy królowie stali, manganu i wolframu. W mowie ogłoszonej w Seulu Dulles oświadczył wówczas, że wkrótce „komuniści utracą swoją władzę nad Koreą Północną”. W pięć dni później wojska Li Syn-

mana zaatakowały posterunki graniczne wzdłuż 38 równoleżnika, a następnego dnia Truman wydał MacArthurowi rozkaz bombardowania Korei Północnej.

W swoim wystąpieniu w Seulu Dulles reprezentował nie tylko ogólne interesy amerykańskich podżegaczy wojennych, ale również i swoje własne: zasiada on bowiem w radzie nadzorczej National City Bank, który zastąpił trusty japońskie w rabunku Korei i utworzył monopolistyczny koncern „New Korea Company”, który inwestował w Korei Południowej blisko półtora miliarda dolarów.

O tym, że przygotowania do agresji trwały już od dawna, świadczy list Li Syn-mana do jego amerykańskiego przyjaciela dr Roberta T. Oliver z dnia 30 września 1949 roku: „Jestem przekonany, iż obecnie nastąpi najlepszy moment psychologiczny, aby przystąpić do ataku i skończyć z Phenianem. Pan i nasi obaj pełnomocnicy w Waszyngtonie i Nowym Jorku oraz my tu, w Seulu i Tokio, musimy razem pracować nad osiągnięciem jednego celu: aby rząd amerykański pozwolił nam nareszcie zacząć”.

Ale o tym kiedy ma się rozpocząć atak, decydowano w Waszyngtonie. „Atak na terytorium na północ od 38 równoleżnika będzie podjęty jedynie na mój wyraźny rozkaz. Wiele oddziałów, które zaatakowały bez specjalnego rozkazu”, zmarnowało wielkie ilości amunicji nie osiągając żadnych wyników, przy czym poniosły one ciężkie straty. Dlatego też ataki podejmowane być mogą jedynie na rozkaz amerykańskiej wojskowej grupy doradczej” (tak nazywało się dowództwo wojsk USA w Korei — przyp. J.S.). Słowa te wypowiedział szef amerykańskiej misji wojskowej w Korei, generał Roberts, na odprawie dowódców lisynmanowskich dnia 2 sierpnia 1949 roku.

Chyba wystarczy...

„BLITZKRIEG” CZYLI PORAŻKA NR 1

19 maja 1950 r. minister wojny USA, Johnson, oświadczył w Kongresie amerykańskim: „Sto tysięcy żołnierzy i oficerów armii południowo-koreańskiej, zaopatrzonych w broń amerykańską i wyszkolonych przez amerykańskich instruktorów, zakończyło swe przygotowania i może w każdej chwili rozpocząć wojnę”. Jak podała agencja „United Press” klika Li Syn-mana otrzymała 100.000 karabinów amerykańskich, przeszło 2.000 rusznic przeciwpancernych „bazooka” wraz z 40.000 naboje. 4900 samochodów, wielką ilość dział przeciwzołgowych kalibru 37 mm i 57 mm, działa kalibru 105 mm, miotacze min kalibru 60 mm i 80 mm, 700.000 min, 40.000 karabinów japońskich i amunicję do tych karabinów. Stany Zjednoczone przekazały również Li Syn-manowi 79 jednostek morskich, w tej liczbie ścigacze, trawlerzy, lo-

*) W latach 1948—1949 oddziały lisynmanowskie kilkakrotnie atakowały posterunki graniczne Koreańskiej Republiki Ludowo-Demokratycznej, zostały jednak odparte.

Diwny jest ten 38 równoleżnik, o którym amerykański komentator wojskowy, Hanson Baldwin, powiedział, że stanowi „krwawą linię życia Stanów Zjednoczonych”. 38 równoleżnik przecina na dwie części umęczoną Koreę, którą amerykańscy ludobójcy przekształcili w poligon doświadczalny zbójczej wojny bakteriologicznej. 38 równoleżnik przechodzi przez Iran, ośrodek konkurencyjnej walki dwóch zbójczych imperializmów — amerykańskiego i angielskiego — o największe na świecie złoża ropy naftowej. 38 równoleżnik przecina gabinet amerykańskiego ambasadora w Atenach, Peurifoy, na którego rozkaz zamordowany został wspaniały bojownik o wolność Grecji, Be-lojannis. 38 równoleżnik przebiega przez Kordobę, gdzie w największym we frankistowskiej Hiszpanii obozie koncentracyjnym pachłkowicie krwawego satrapy mordują patriotów hiszpańskich. 38 równoleżnik przebiega wreszcie przez Waszyngton i Kansas City, dwie stolice krwawych bankierów i wszechwładnych gangsterów, których wspólnym tworem stał się Truman, symbol zbójczej polityki amerykańskich imperialistów.

dzie desantowe itp. „Amerykański płatnik podatków — oświadczył wspomniany już gen. Roberts — posiada w Korei armię, która jest świetnym „psem łańcuchowym”, strzegącym kapitałów ulokowanych w tym kraju, i osiąga — przy pomocy siły — maksymalne rezultaty przy minimalnym wkładzie”.

Tak oto na rozkaz amerykańskich monopolistów rozpoczął się konflikt w Korei. Po sprowokowaniu tego konfliktu, widząc że terrorystyczny reżim Li Syn-mana rozpada się, rząd Stanów Zjednoczonych uciekł się do jawnej interwencji.

W pierwszym okresie walk, od 25 czerwca do 15 września 1950 r., Armia Ludowa odparła atak wojsk Li Syn-mana i w potężnej kontrofensywie rozbiła te wojska i wojska amerykańskich agresorów, ścigając je aż do przyczółka miasta Pusan. Z oddziałów nieprzyjacielskich oczyszczono półwysep Undżin i stolicę kraju — Seul. Rozbijając główne siły wojsk lisynmanowskich oraz 24 i 25 dywizję piechoty amerykańskiej, Armia Ludowa sforsowała dwie wielkie rzeki — Hangan i Kymgan i posunęła się o 400 km wzdłuż wybrzeża zachodniego, docierając do najbardziej na południe wysuniętych portów. Równocześnie rozbite zostały oddziały lisynmanowskie i amerykańskie na wschód od Andon i Kymczon, a Armia Ludowa dotarła do Taegu i Phonan.

Według danych prasy amerykańskiej, przeciwko 150.000 żołnierzy Armii Ludowej (oddziały tej armii formowały się dopiero w toku zaciętych walk!) agresorzy dysponowali 300.000 żołnierzy Li Syn-mana oraz wielką armią amerykańską, w skład której wchodziły: 2, 24 i 25



Niezwycięzona jest potęga walczących o wolność patriotów koreańskich, od dwóch lat stale gromiących wroga.

amerykańskie dywizje piechoty, pierwsza dywizja kawaleryjska (zmotoryzowana), pierwsza dywizja piechoty morskiej oraz — przerzucona z wysp Hawajskich — piąta brygada piechoty morskiej, równa pod względem siły pułkowi. W początkach sierpnia 1950 r. przybyły na Koreę oddziały angielskie i australijskie w sile jednej brygady. Oddziały napastników wspierane były wielkimi siłami lotniczymi i licznymi jednostkami amerykańskiej floty wojennej.

Mimo olbrzymiej przewagi agresorów, wojska Armii Ludowej prowadziły zwycięskie walki z wrogiem, który umocnił się na pusańskim przyczółku, zawczasu przygotowanym do długotrwałej obrony. 14 września rozmiary tego przyczółka nie przekraczały 100 na 80 km. Oznaczało to z jednej strony zagęszczenie taktyczne oddziałów interwencji i siłę oporu na każdym kilometrze frontu, z drugiej zaś wydłużenie linii komunikacyjnych Armii Ludowej o 500 km, co przy zerwaniu przez Amerykanów prawie wszystkich wielkich mostów — w znacznym stopniu utrudniało zaopatrzenie. Pomimo tych trudności Armia Ludowa sforsowała rzekę Nak-tongan.

Dwa miesiące walk w Korei rozwiąły legendę o potęgę armii amerykańskiej. W obliczu bohaterskiej postawy Armii Ludowej rozpadł się w pył mit o amerykańskim „blitzkriegu”. Taka była pierwsza porażka Waszyngtonu w Korei.

AMERYKAŃSKA POTĘGA LOTNICZA CZYLI PORAŻKA NR 2

7 lipca 1950 roku „New York Times” pisał: „Przez zdecydowane wystąpienie w Korei świat zachodni nie ma nic do stracenia, a wszystko do zyskania... Nawet w wypadku, gdyby walki w Korei przerodziły się w wojnę światową, dla zachodu byłoby to sukces...”

W myśl planów Pentagonu*) agresja w Korei stworzyć miała bazę wypadową przeciwko Chinom Ludowym, bazę wojenną w Azji w ramach ogólnych przygotowań do rozpętania wojny światowej. Amerykański sztab generalny odrzucał stare plany Tanaki, zaatakowania Chin z terytorium Korei. Otwarcie przyznał się do tego Truman w swych ogłoszonych w marcu br. pamiętnikach, pisząc pod datą 5 stycznia 1946 roku: „Musimy utrzymać w pełni kontrolę nad Japonią i Pacyfikiem. Musimy opanować Chiny i utworzyć tam silny rząd. To samo dotyczy całej Korei”.

Wojna w Korei miała równocześnie uratować gospodarkę amerykańską od coraz bardziej zagrażającego jej kryzysu. Po krótkim okresie powojennej „normalizacji”, w roku 1949 do okien amerykańskich rodzin zapukało widmo strasznego roku 1929. Zdaniem fachowców z Wall Street tylko wojna mogła uratować Stany Zjednoczone od kryzysu. Na kilka dni przed agresją tygodnik amerykański „US News and World Report” pisał: „Gospodarka amerykańska pójdzie na dno, jeśli nie uda się utrzymać obecnego poziomu zamówień wojennych, co jest rzeczą coraz trudniejszą w obliczu wzrastającej fali ruchu pokoju. Można być jednak pewnym, że rząd amerykański nie dopuści do takiej sytuacji”. A w cztery dni po agresji, 29 czerwca 1950 roku „Journal of Commerce” stwierdził, że „wypadki w Korei są dla gospodarki amerykańskiej jednym z najpomyślniejszych wydarzeń od czasu zakończenia drugiej wojny światowej”. Tak więc bandycki napad na Koreę ściśle związany był z ogólnymi politycznymi, ekonomicznymi i militarnymi planami amerykańskiego imperializmu.

Gdy rozwiązał się mit o amerykańskiej wojnie błyskawicznej, rozwścieczeni groźbą „koreańskiej Dunkierki” agresorzy postawili na wyższość techniczną swej armii. Rozpoczęło się barbarzyńskie bombardowanie Korei. Potężne siły lotnicze USA dokonywały masowych nalotów na miasta i wsie koreańskie, zostawiając ruiny i zgłiszczając, mordując bezbronną ludność cywilną, mszcząc się za porażki na froncie. Równocześnie Amerykanie przygotowali wielki desant morski w Inczon, ściągając w tym celu wszystkie wojska lądowe, morskie i lotnicze, znajdujące się w rejonie oceanu Spokojnego, a nawet amerykańską flotę śródziemnomorską. W krótkim czasie USA przerzuciły na Koreę około 2/3 sił zbrojnych, jakimi wówczas dysponowały.

W dniach 15—16 września 1950 r. Amerykanie przystąpili do ataku przy użyciu niezwykle potężnych sił morskich i lotniczych. Na wąski skrawek wybrzeża skierowano nieustanny atak z górą 500 samolotów i 317 okrętów wojennych, włącznie z najcięższymi pancernikami. Nieliczna załoga wysepki Wolmi u wybrzeży Inczonu

przez cztery dni wytrzymywała całą nawałę ognia i żelaza, powstrzymując agresorów. Dopiero 20 września udało się interwentom wysadzić desant liczący przeszło 50.000 żołnierzy wraz z wielką ilością artylerii i czołgów.

Dysponując siłami przeszło 20-krotnie przywyższającymi znajdujące się w tym rejonie oddziały Armii Ludowej, amerykańscy agresorzy liczyli na to, że za jednym zamachem zajmą Seul i przetrną linie komunikacyjne zaopatrujące walczące koło Pusanu wojska ludowe. Ale dufni w swą przewagę techniczną agresorzy nie uwzględnili ogólnonarodowego charakteru wojny. Nieliczna w pierwszych dniach agresji Armia Ludowa zahartowała się i okrzepła. 900 tysięcy chłopców i dziewcząt Korei Północnej zgłosiło się ochotniczo do wojska, a szeregi Armii Ludowej powiększyły się w tym okresie o 400 tysięcy patriotów z wyzwolonych terenów Korei Południowej.

7 października 1950 r. blok anglo-amerykański przegłosował w ONZ bezprawną rezolucję, upoważniającą MacArthura do rozszerzenia agresji amerykańskiej na całe terytorium Korei. Kosztem ogromnych strat udało się armii amerykańskiej, wspieranej przez trzy dywizje lisymanowskie, brygadę angielską i turecką, sforsować 25 października rzekę Chhonzchońga, zająć Phenian i rozszerzyć agresję aż do granic Chin.

Bezpośrednie zagrożenie i barbarzyńskie bombardowanie przez samoloty amerykańskie miast chińskich (zwłaszcza Andun) wywołało falę oburzenia w Chinach. Naród chiński postanowił pomóc narodowi koreańskiemu w jego walce przeciwko interwentom, aby tym samym obronić również swoje granice. Do Korei zaczęli przybywać ochotnicy chińscy.

Mimo olbrzymiej przewagi technicznej agresorów Armia Ludowa przeszła do przeciwnatarcia i rozbiła zupełnie większość dywizji wroga. W początkach 1951 r. napastnicy wyparci zostali na południe. Porażka armii amerykańskiej była straszliwa. Jak stwierdził wówczas amerykański kongresman Albert Gore: „Korea stała się rzeźnią ludzkich rezerw Ameryki. Władze wojskowe oświadczyły, że przy obecnej polityce decydującej zwycięstwo jest niemożliwe...”

W tym okresie poniosła klęskę amerykańska koncepcja strategiczna, opierająca się na decydującym znaczeniu lotnictwa i wyższości floty powietrznej USA. Rozwój wydarzeń w Korei dowiódł — pisał „Wall Street Journal” — że lotnictwo nie daje sobie rady na froncie. „Teoria generałów amerykańskich o decydującej roli lotnictwa w wojnie jest fałszem — stwierdził Max Werner, komentator wojskowy „Daily Compass”. — Obecnie staje się jasne, że wojna w Korei będzie wojną armii lądowej przeciw armii lądowej”. A w marcu br. szef amerykańskiego lotnictwa, gen. Hoyt S. Vandenberg przyznał, że „przecenił rolę amerykańskiego lotnictwa bombardującego”.

Jak przyznają sami Amerykanie, sprzęt lotniczy i w ogóle sprzęt bojowy wojsk ludowych okazał się znacznie lepszy od amerykańskiego. Znany komentator wojskowy, Hanson Baldwin, przypisuje porażkę temu, że koreańskie samoloty rakietowe są szybsze od amerykańskich, a urządzenia radarowe stale są rozbudowywane i są coraz skuteczniejsze. „Nasze straty lotnicze — przyznaje Baldwin — są wielokrotnie większe niż wroga”.

Wspaniałe zwycięstwa żołnierzy Armii Ludowej i straszliwe straty, jakie ponoszą Amerykanie, skłoniły ich do zaniechania bombardowań dziennych i ograniczenia się do barbarzyńskich nalotów na ludność cywilną. „Mit rozwiązał się — przyznał b. minister wojny USA, gen. Marshall — nie okazaliśmy się krajem tak potężnym, za jaki nas uważano”. Rozwianie legendy o wyższości amerykańskiego lotnictwa i sprzętu stanowi drugą porażkę amerykańskich agresorów.

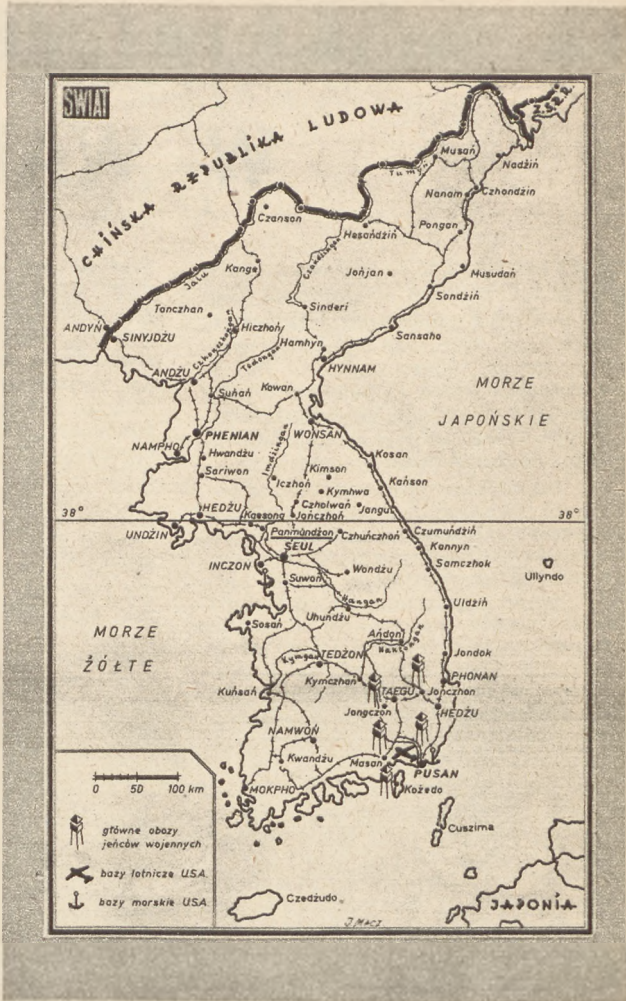
MORALE AGRESORÓW CZYLI PORAŻKA NR 3

Wojnę w Korei pragnęli wykorzystać amerykańscy stratedzy jako generalną próbę nie tylko swego sprzętu, ale i swoich żołnierzy. Korea stała się miała poligonem doświadczalnym trzeciej wojny światowej.

W czasie desantu pod Inczon MacArthur rozciągał przed swoimi żołdakami „ponętą” wizję gwałtów i grabieży: „Przed wami bogate miasto, wiele w nim win i siodłaczy, zdobądźcie Seul, a wszystkie dziewczęta będą wasze, mienie mieszkańców należy do zwycięzców i będziecie mogli postać do domu paczki”. Jak wykazały walki w Korei, najemnego imperialistycznego żołdaka nie potrzeba nawoływać do mordu i grabieży. Opinia całego świata z najgłębszym oburzeniem potępia krwawe zbrodnie amerykańskich żołdatów. Gwałt i rabunek, masowe mordowanie kobiet i dzieci, zakopywanie żywcem i ćwiartowanie, wieszanie i krzyżowanie spokojnych mieszkańców są na porządku dziennym.

Ale mimo wyrafinowanego systemu ideologicznego urabiania zawodowego mordery, morale amerykańskiego żołdaka jest niezwykle niskie. Z chwilą gdy rozwiązano mit o amerykańskiej potęgę wojennej, żołnierze amerykańscy „stracili ducha”. W czasie zimowej klęski amerykańskich napastników „New York Times” pisał w grudniu 1950 roku: „Na koreańskim froncie oddziały wojskowe przekonały się, że posiadanie przewagi w uzbrojeniu i sprzęcie jest absolutnie nie wystarczające dla powstrzymania przeciwnika w pełni zdecydowanego na natarcie”.

Jak powiedział Józef Stalin w rozmowie z korespondentem „Prawdy”: „Rzecz zrozumiała, że najbardziej nawet doświadczeni generałowie i oficerowie mogą ponieść porażkę, jeżeli żołnierze uważają, że narzucona im wojna jest głęboko niesprawiedliwa i jeżeli wobec tego wykonują swe obowiązki na froncie formalnie, bez wiary w słuszność swej misji, bez entuzjazmu”.



O nastrojach żołnierzy amerykańskich świadczą listy wysyłane do rodzin, w których domagają się zakończenia wojny.

Mit o waleczności amerykańskiego żołnierza został rozwiany w Korei. Taka jest trzecia porażka armii USA.

WOJNA CUDZYMI RĘKAMI CZYLI PORAŻKA NR 4

Gdy wojna w Korei zaczęła się przeciągać, Amerykanie powrócili do „tradycyjnej” koncepcji wojowania cudzymi rękami. Zasada, którą kierował się Waszyngton w obu wojnach światowych, polegała na tym, aby przy najmniejszym udziale własnych wojsk uzyskać możliwie jak największe korzyści polityczne i gospodarcze. Rychło jednak okazało się, że mało jest chętnych do umierania za bankierów amerykańskich, nawet wśród tych, którzy są tak chętni do przyjmowania dolarów. Mimo nacisku i szantażu udział satelitów USA w agresji na Korei jest minimalny. Na Korei Amerykanie walczyć muszą sami. Jeśli nie liczyć oddziałów Wielkiej Brytanii i jej dominiów (z wyjątkiem Indii i Pakistanu), w sile około dywizji, oraz Francji, okaże się, że w amerykańskiej interwencji w Korei bierze udział z siedmiu państw (Belgia, Dania, Filipiny, Grecja, Holandia, Kolumbia i Turcja), zaledwie kilka tysięcy żołnierzy (przepraszam — zapomnieliśmy o udziale Paragwaju, który wysłał do Korei aż... 4 ochotników). Okazało się również, że najemne wojska lisymanowskie nie spełniły pokładanych w nich nadziei, masowo przechodząc na stronę Armii Ludowej.

Gdy amerykańska agresja w Korei zaczęła się załamywać, Truman zagroził zrzuconiem bomby atomowej. Potężny głos setek milionów obrońców pokoju, miliony podpisów pod Apelem Sztokholmskim przeraziły zbrodniarzy. Cynicznie przyznał to organ wielkiej finansjery amerykańskiej „Wall Street Journal” pisząc: „Nie odważyliśmy się użyć bomby atomowej w Korei z obawy, iż po atomowym wybuchu znacznie się polityczna i moralna reakcja łańcuchowa...”

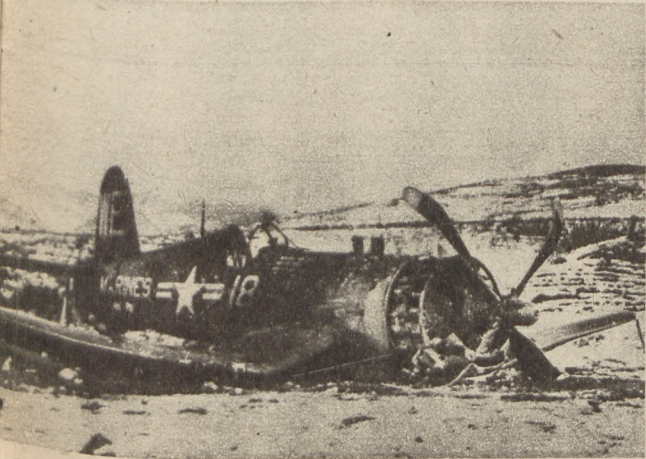
Niechęć satelitów USA do brania udziału w amerykańskiej agresji w Korei, fiasko koncepcji wojowania cudzymi rękami, a przede wszystkim potężna reakcja łańcuchowa ogólnoswiatowego potępienia dla ich zbrodni w Korei, izolacja w jakiej znalazły się Stany Zjednoczone — to czwarta porażka amerykańskiej polityki.

DŻUMA I CHOLERA CZYLI PORAŻKA NR 5

Nie mogąc złamać oporu Armii Ludowej i ochotników chińskich, agresorzy amerykańscy sięgnęli do bandyckiego arsenału broni bakteriologicznej, która zdaniem strategów z Pentagonu miała „ostatecznie złamać ducha wojsk komunistycznych”. Mimo zaprzeczeń Waszyngtonu, fakty i dokumenty ujawniają, że wojna bakteriologiczna była od dawna skrupulatnie przygotowywana. Czego nie zdołały dokonać amerykańskie superfortece, tego spodziewali się władcy Białego Domu po zarażonych dżumą i cholerą wszach i pająkach. Ale, jak oświadczył ostatnio Kim Ir-sen „interwentom nie udało się żadnymi zbrojeckimi środkami zastraszyć miłującego wolność narodu i zmusić go do uległości”. Amerykańskie bestialstwa wywołały nie rozpacz, lecz gniew i palącą nienawiść mas ludowych.

Równocześnie, aby uniemożliwić wymianę jeńców, która jest niezbędnym warunkiem rozejmu, Amerykanie zaczęli stosować barbarzyński terror wobec jeńców ko-

Dokończenie na str. 20



Taki los czeka agresorów. W Korei rozwiął się mit o niezwyciężonej potęgę amerykańskiego lotnictwa.

*) Amerykańskie ministerstwo wojny.

NA GOREJĄCYM STOSIE, ŻYWCEM SPALONY W WARSZAWIE ROKU 1689

W PAPIERACH pozostawionych przez biskupa kijowskiego, Załuskiego, znaleziono wstrząsający dokument, opisujący egzekucję pewnego „kacerza”, która odbyła się w dniu 28 marca 1689 r. za panowania króla Jana III Sobieskiego, na rynku Starego Miasta w Warszawie. Biskup Załuski w dniu tym zanotował:

„Po odwołaniu wprowadzono winowajcę na rusztowanie, gdzie oprawca rozpalonym żelazem wyrwał mu język, którym bluźnił Bogu; po czym ręce jego, jako narzędzie wstrętnego dzieła, spalone były na wolnym ogniu, a świętokradzki papier rzucono w płomienie; płomieniom, zmywającym winy, oddano wreszcie i jego samego, tego potwora swego wieku, tego bogobójcę i prawołomcę. Zmazać winę jego miały płomienie, jeśli przestępstwo takie w ogóle może być odpokutowane”.

Kim był męczennik, którego Załuski nazywa „potworem, bogobójcą i prawołomcą”, i za jakie zbrodnie zasłużył on na taką śmierć?

Męczennikiem tym był postępowy myśliciel i uczonego polski XVII w. — Kazimierz Łyszczyński (1634—1689).

Fryderyk Engels we wstępie do „Dialektyki przyrody” pisał, że rozwijająca się w epoce Odrodzenia nauka wysyłała „swoich męczenników na stosy i do więzień inkwizycji”.

„Był to największy postępowy przewrót — pisze Engels — jaki ludzkość do owych czasów kiedykolwiek przeżyła, epoka, która wymagała olbrzymów i zrodziła olbrzymów — olbrzymów myśli, namiętności, charakteru, wszechstronności i wiedzy...” (Marks i Engels. Dzieła wybrane, tom II, str. 53 — 54).

Do tych olbrzymów i męczenników wiedzy, o których pisał Engels, zaliczyć możemy obok Michaela Serveta i Giordana Bruno również polskiego uczonego i myśliciela — Kazimierza Łyszczyńskiego.

PRZYJACIEL PRAWDZIWEJ CZCI

Urodził się Łyszczyński w roku 1634 w województwie brzesko-litewskim. W młodości wstępuje do zakonu Jezuitów, gdzie wkrótce staje się wykładowcą filozofii. W zakonie zetknął się on z osławioną jezuitką obłudą i fałszem, z nie przebierającymi w środkach metodami walki z przeciwnikami politycznymi. Wstrząśnięty do głębi podłościami jezuitkich „sług bożych”, Łyszczyński nie wyświeca się, lecz porzuca zakon, czym ściąga na siebie gniew i groźbę zemsty.

Po opuszczeniu zakonu Łyszczyński poświęca się pracy naukowej i studiuje filozofię. Współcześni pisali o nim, że „żył w społeczeństwie uczonych mało gdzie bywając a czyniąc dobrze” i charakteryzują go, jako „przyjaciela prawdziwej czci”, który „wzgardzał niektórymi zabobonnościami polskimi”.

Swoje poglądy filozoficzne zawarł Łyszczyński w 15-arkuszowym traktacie, w którym wyraził pogląd, że człowiek pochodzi ze świata zwierzęcego. „W każdym rodzaju istot — pisał Łyszczyński — znajduje się istota najdoskonalsza: np. w rodzaju gwiazd, jest istotą najdoskonalszą słońce; w rodzaju zwierząt, znajduje się istota najdoskonalsza, człowiek...”

Filozoficzne dociekania doprowadziły Łyszczyńskiego do ateizmu. W swych pracach używał on często zdania: „My ateści wierzymy i mniemamy tak...”. Głosił on również, że sakrament małżeński jest niczym innym, jak zwykłym związkiem.

Poglądy filozoficzne Łyszczyńskiego, jego materialistyczny pogląd na świat, wywołały wściekły gniew wyższego duchowieństwa. Mściwi Jezuiti nie mogli wybaczyć mu porzucenia zakonu. Za wszelką cenę postanowiono rozprawić się z „niebezpiecznym ateuszem i bluźniercą”.

Historycy szlacheccy i burżuazyjni wszelkimi sposobami starali się zataić sprawę Łyszczyńskiego, która odsłaniała prawdziwe oblicze inkwizytorów polskich — wrogów postępu i nauki. Usiłowali oni dowieść, że Łyszczyński padł

przypadkowo ofiarą fanatyzmu religijnego. Materiały procesu i korespondencja prowadzona między inicjatorami zbrodni dokonanej na Łyszczyńskim, stwierdzają jednak niezbieżnie, że stracenie Łyszczyńskiego dokonane zostało z rozkazu biskupów polskich. Materiały te pozwalają także ujawnić prawdę o Łyszczyńskim, postępowym myślicielu XVII wieku.

Dla rozprawienia się z Łyszczyńskim biskupi skorzystali z usług posła brzeskiego, Jana Brzóska, warchoła, który dłużny był Łyszczyńskiemu znaczną sumę pieniędzy i który radby pozbyć się jak najszybciej niewygodnego wierzyciela.

Brzósce udało się skraść z biblioteki Łyszczyńskiego książkę teologa niemieckiego, Altadiusa, p.t. „Theologia Naturalis”, w której na marginesie znajdowała się odręczna adnotacja Łyszczyńskiego: „Ergo non est Deus!” („A więc nie ma Boga!”). Książkę tę odesłał Brzóska do biskupa wileńskiego, Brzostowskiego, który sam nie czując się na siłach, aby rozprawić się z Łyszczyńskim cieszącym się popularnością i szacunkiem wśród społeczeństwa, wziął sobie do pomocy biskupa inflanckiego — Popławskiego, poznańskiego — Witwickiego, plockiego — Dąbskiego, lwowskiego — Lipskiego i kijowskiego — Załuskiego. Przeciwno Łyszczyńskiemu wystąpił również ówczesny prymas — kardynał Radziejowski. Biskupi chcąc przypodobać się Stolicy Apostolskiej i zdobyć kapelusz kardynalski, prześcigali się wzajemnie w okrucieństwach. Rozpętano przeciwko Łyszczyńskiemu nagonkę, dowodząc, że Boga należy przebłagać krwią bluźniercy.

GŁOS WATYKANU

Wbrew prawu, Łyszczyńskiego, pomimo że był szlachcicem, uwięziono i oskarżono o kacerstwo, wolnomysłicielstwo i ateizm oraz o bluźnierstwo.

Z kolei sprawa Łyszczyńskiego oparła się o Sejm, który rozpatrywał ją od stycznia 1686 r. do 5 marca 1687 r. Sejm ten został zerwany i sprawa uległa odroczeniu.

Biskupi jednak nie dali za wygraną. Po dwóch latach wznowiają oni ponownie sprawę Łyszczyńskiego przed sądem sejmowym w Warszawie, który obradował od 17 grudnia 1688 r. do 5 marca 1689 r. Przewodniczącym sądu był biskup Popławski, a głównym oskarżicielem Załuski. Biskupi domagali się pociągnięcia Łyszczyńskiego „do przykładnej kary”. Biskup Załuski grzmiał przed sądem: „Łzami... nieszczęśliwej ojczyzny naszej należało by opłakiwać że takie wydała monstrum...!”

Szczególnie nikczemna rola w sprawie Łyszczyńskiego przypadła w udziale „Stolicy Apostolskiej”. Rzym popie-



Palenie „kacerzy” na stosie.

rał oskarżenie i domagał się poddania Łyszczyńskiego torturom. Świadczy o tym list ówczesnego nuncjusza papieskiego — Jakuba Cantelmi, który pisał w dniu 2 marca 1689 r. do Rzymu, do kardynała Cybo:

„Oświadczyłem kilka razy na sesjach, na których zasiadał kardynał-prymas i biskupi, że podług wszelkiego prawa i praktyki, przepisanej przez trybunał św. inkwizycji, potrzeba koniecznie wziąć oskarżonego na tortury, żeby wyznał resztę prawdy i współników; lecz chociaż wszyscy byli przekonani o potrzebie tego sposobu badania, utrzymywali jednak, że użycie jego sprawiłoby wielki hałas na Sejmie, gdzie wielu, acz przeciwnych oskarżonemu, nie pochwalalo uwięzienia szlachcica prawem nie przekonanego. Gdyby tedy dowiedzieli się, że został wzięty na tortury, jeszcze by to bardziej oburzyło umysły, i tym sposobem oskarżony uszedłby kary”.

Nie pomogły wszakże świadectwa wielu osób biorących w obronę oskarżonego. Sąd odrzucił je, stwierdzając: „dobre uczynki nie są dostatecznym prawdziwej wiary świadectwem, bo poganie i obłudnicy zdobywają się na takie”.

Sąd sejmowy uznał Łyszczyńskiego winnym i wydał w dniu 5 marca 1689 r.

wyrok skazujący Kazimierza Łyszczyńskiego na śmierć przez spalenie. Wyrok głosił:

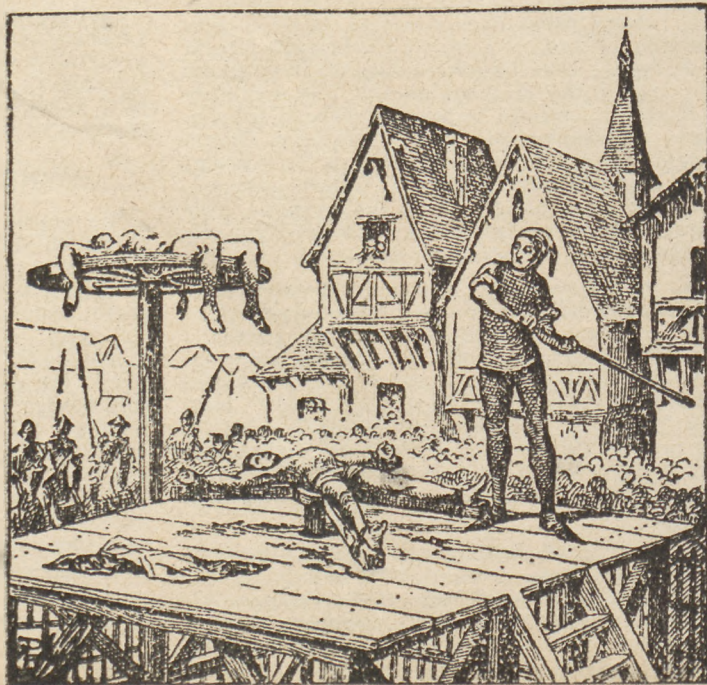
„...pisma jego ateuszowskie, gdy je trzymać będzie w prawej ręce na rusztowaniu wystawionym w rynku Starej Warszawy, zostaną spalone przez kata, sam zaś obwiniony... na gorejącym stosie żywcem spalony i w proch obrócony będzie. Dobra jego będą potowicznie rozdzielone między oskarżyciela (Brzóske) i skarb, ulegną konfiskacie, dworek także, w którym mieszkał winowajca i kreślił bezecne pisma ręką zbrodniczą, jako pracownia obłąkanego, ma być z ziemią zrównany, ziemia zaś, na której stał ten dworek, ma dla wiekopomnej przestrogi pozostać pusta i nie rodząca”.

W dniu 28 marca 1689 r., na rynku Starego Miasta w Warszawie przy licznie zgromadzonych tłumach odbyła się egzekucja Łyszczyńskiego.

Po spaleniu „popioły jego nabitó w działo i w stronę Tatarii wystrzelono, jako ku krajowi niewiernych i odszczepieńców”.

Taka jest prawda o życiu i męczeńskiej śmierci polskiego Giordana Bruno — Kazimierza Łyszczyńskiego, postępowego myśliciela i uczonego.

JÓZEF KOZŁOWSKI



Koło śmierci — inkwizycyjne narzędzie tortur.



Próba ognia stosowana przez „świętą inkwizycję”.

DZIEJE WIELKIEJ PROWOKACJI

JESIENIA roku 1941 najeźdźcy hitlerowscy rozstrzelali w lesie katyńskim pod Smoleńskiem ponad 10 tysięcy jeńców polskich. Dlaczego?

Wiosną roku 1943 machina propagandowa Goebbelsa przy czynnej pomocy polskiej kliki emigracyjnej roztrąbiła ohydą prowokację o rzekomych „bestialstwach bolszewików” w Katyniu. Dlaczego?

Zimą 1952 roku specjalna komisja kongresu USA wszczęła śledztwo w sprawie katyńskiej, mające na celu wybielenie hitlerowskich ludobójców. Dlaczego?

Na te trzy pytania odpowiada z ogromną jasnością książka B. Wójcickiego, która ukazała się niedawno na półkach księgarskich*. Autor nagromadził w niej pokątną ilość materiału faktycznego i dokumentacyjnego i opierając się w pierwszym rzędzie na wypowiedziach i pismach samych hitlerowskich sprawców mordu — przypomina fakty z dziejów tej jednej z najpodlejszych prowokacji wojującego faszyzmu.

Bolesław Wójcicki

PRAWDA O KATYNIU

czytelnik

Wójcicki przedstawia wszystkie trzy etapy prowokacji katyńskiej (1941, 1943 i 1952 r.) na tle polityki hitlerowskich zaborców i ich amerykańskich naśladowców. Takie ustawienie problemu w dużej mierze ułatwia zrozumienie okoliczności, w jakich prowokacja się narodziła i celów, jakim miała służyć. Mord w lesie katyńskim jest tylko fragmentem hitlerowskiej polityki biologicznego wyniszczania narodu polskiego, a zwłaszcza inteligencji. Prowokacja z roku 1943 — to kontynuacja tej samej metody, która w 1933 roku ujawniła się w goeringowskim podpaleniu Reichstagu, a w roku 1939 — w sfabrykowanym przez Himmlera „napadzie Polaków” na radiostację gliwicką. Wreszcie przejęcie goebbelsowskiego dzieła przez amerykańskich kongresmanów — to drobny przejaw przyswojenia i rozwinięcia przez imperializm USA hitlerowskich dążeń do panowania nad światem, hitlerowskiej polityki kłamstw, dywersji i prowokacji, hitlerowskich metod ludobójstwa.

Przytoczone w książce dokumenty i fakty przygważdżają nie tylko Goebbelsa, który drżał na samą myśl, że świat może dowiedzieć się o znalezieniu w katyńskich grobach niemieckiej amunicji. Przygważdżają nie tylko komisję Kongresu USA, która skompromitowała się do tego stopnia, że wytknęły to jej nawet emigracyjne polskie szmatławce. Fakty przygważdżają przede wszystkim ludobójcze metody faszystowskie, te, za które zbrodniarze z Katynia odpowiadali w Norymberdze, te, za które zbrodniarze z Kożedo odpowiedzą przed sądem narodów.

(ka)

* B. Wójcicki: „Prawda o Katyniu”, wyd. „Czytelnik”, 1952, str. 188 + 2 nb. cena 6 zł.



WYSTAWA ARCHITEKTURY WNĘTRZ I SZTUKI DEKORACYJNEJ

STYL epoki określa sztuka, która jest tej epoki ścisłym odpowiednikiem. I to zarówno tzw. sztuka czysta (architektura, malarstwo, rzeźba) jak i sztuka nosząca miano „użytkowej”, czyli „stosowanej”; jej zgodność ze sztuką „czystą” jest zjawiskiem notowanym we wszystkich okresach historycznych. I tak architekturze rokoka i malarstwu Watteau, Fragonarda czy Bouchera odpowiada mebel, porcelana i tkanina, w których powtarzają się te same motywy i tendencje stylistyczne; rewolucja francuska nawiązuje do surowych i poważnych form rzymskiej starożytności — moda oraz potrzeby tego czasu wyrażają się w równej mierze w stroju i wnętrzu mieszkalnym, jak w sztuce Davida; to samo można by powiedzieć o mieszczańskim stylu „biedermayer” czy wielu innych.

Skoro zatem współczesna sztuka obrała pewien kierunek, który wyraża się w nowej formie i zawiera treść ideową wynikającą z ogólnych tendencji rozwojowych budującego się państwa socjalistycznego, skoro zmienia adresata i z wąskiego, elitarnego kręgu przechodzi na własność odbiorcy masowego, sztuka użytkowa musi wychodzić z tych samych założeń. Jej znaczenie jest dziś ogromne: kształtuje bowiem estetykę życia codziennego.

Pierwsza ogólnopolska wystawa architektury wnętrz i sztuki dekoracyjnej daje przegląd osiągnięć w tej dziedzinie, o której dotychczas mogliśmy sądzić jedynie fragmentarycznie.

Zacznijmy od działu najbardziej ogólnego — kompozycji przestrzennych i architektonicznych oraz ich dekoracji. Mamy tu pawilony wystawowe w przestrzeni otwartej lub wnętrza specjalnie do wystaw przystosowane, wnętrza domów kultury, świetlic i budynków reprezentacyjnych, rozwiązania ogrodów i placów, gdzie stanąć mają pomniki — plansze uzmysławiające rzeczy już dokonane lub projekty zamierzeń. Nacisk położony jest na powiązanie architektury, rzeźby, malowideł i przedmiotu tak, aby stanowiły jedną całość. Nie zapomniano również o rozwiązaniu wnętrz mieszkalnych: fragmenty tych wnętrz możemy oglądać na wystawie w „naturze”: sypialnia, kącik dzieciennego pokoju itd.

Wystawione eksponaty, służące do wyposażenia wnętrz, projektowane były dwukierunkowo: dla instytucji społecznych i dla odbiorcy prywatnego — ze względu na inny zakres potrzeb. Trzeba zresztą powiedzieć, że w meblarstwie na przykład, meble do wnętrz mieszkalnych są i celowe i estetyczne, gdy meble przeznaczone do sal reprezentacyjnych nie spełniają tych zadań; jeśli można jeszcze bronić ich celowości, nie da się tego uczynić przy ocenie estetycznej, w większości bowiem wypadków są one pomieszaniami najrozmaitszych stylów, przeładowane i ciężkie. Inaczej z tkaninami, które są ozdobą wystawy. A więc tkaniny dekoracyjne — gobeliny, kilimy, żakardy obok malowanych jedwabi, płócien, tkanin obiciowych ciekawych w rysunku i harmonijnych w kolorze. Bardzo udana jest ceramika i szkło, pomysłowe zabawkarstwo, wreszcie drobna galanteria (biżuteria, guziki, ozdoby ubioru).

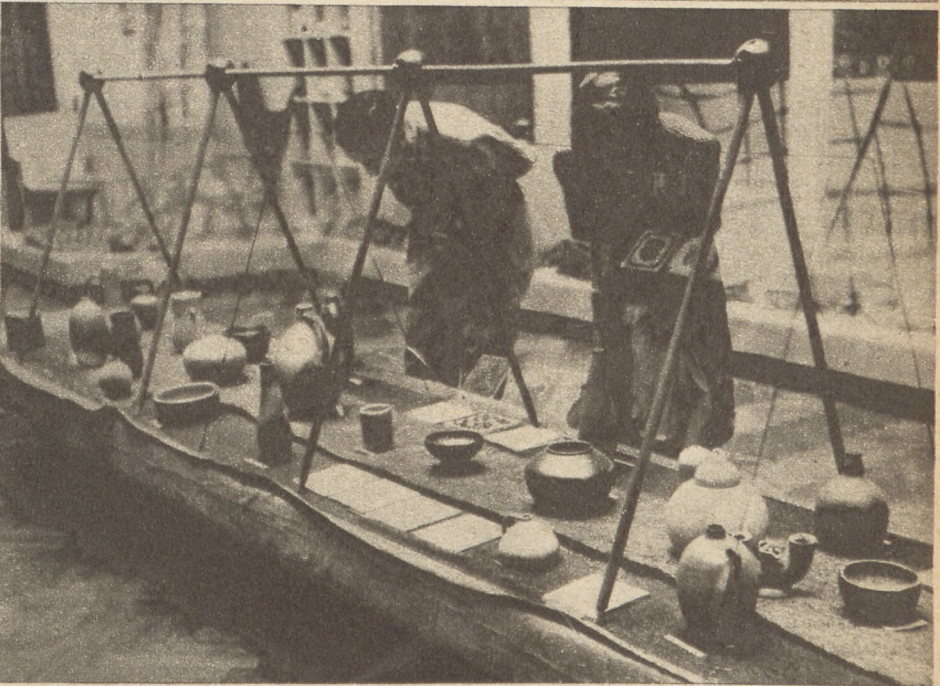
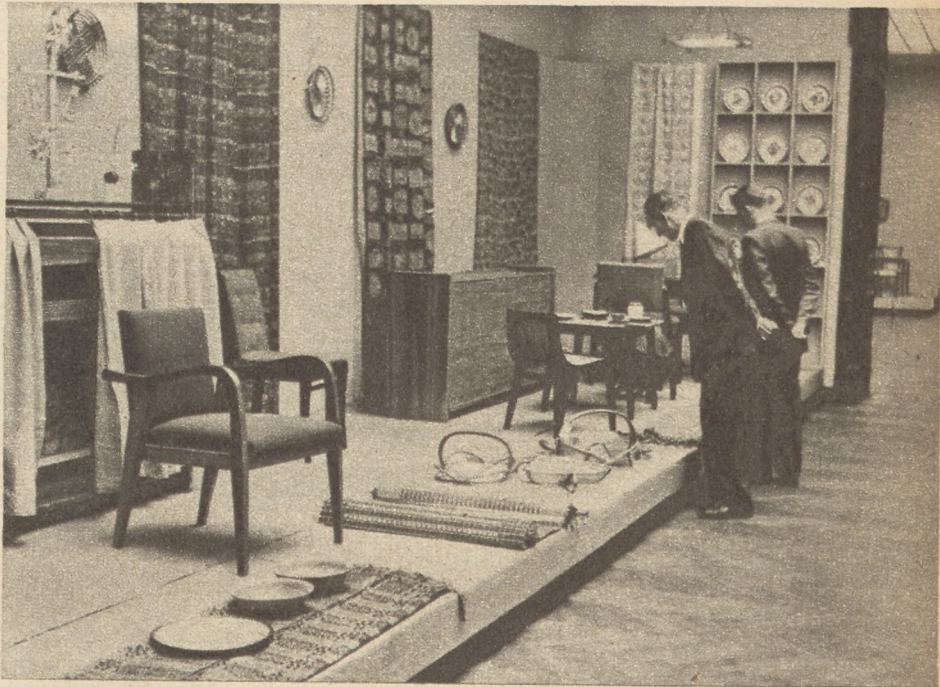
We wszystkich wystawionych eksponatach widać troskę o stworzenie stylu, który najbardziej odpowiadałby potrzebom dzisiejszego człowieka, poszukiwaniu formy prostej i celowej. Wielu wystawiających artystów sięga do tradycji ludowej (ceramika, niektóre tkaniny, zabawki) posługując się nią jednakże z wielkim umiarem: nie mamy tu więc ani prymitywnego naśladownictwa, ani też nadmiernej stylizacji; twórcy potrafili wzbogacić tradycyjny wzór czy kształt o własne, indywidualne ujęcie, często w sposób bardzo szczęśliwy.

Wystawę uzupełniają dwie sale poświęcone scenografii teatralnej i filmo-

wej, bardzo interesujące, chociaż w stosunku do innych działów może nieco niekompletne, dają bowiem dość pobieżny przegląd udziału plastyków w sztuce teatralnej (eksponatów dotyczących filmu jest w ogóle niewiele). Być może dzieje się tak dlatego, że kilku wybitnych scenografów nie wystawia swych prac (Daszewski, Kosiński) i stąd powstaje ułamkowy obraz osiągnięć, czasem nie najbardziej reprezentatywnych

dla naszej scenografii współczesnej. Niektóre jednak prace wyrównują te braki, przede wszystkim Z. Strzeleckiego, scenografa o dużej wyobraźni i kulturze, T. Roszkowskiej (kostiumy do „Jak wam się podoba” Szekspira), A. Stopki („Trzy siostry” Czechowa), wreszcie piękna i bardzo w duchu Racine’a dekoracja J. Sempolińskiego („Andromacha”).

JOANNA GUZE





Trzeci diament

MIROSLAW AZEMBSKI - Zdjęcia: Z MAŁEK

NADCIAGA burza; zwały granatowych chmur przesłaniają horyzont, spada ulewny deszcz, świetliste żyłki piorunów przecinają niebo w różnych kierunkach. Na ziemi ludzie chronią się do bram, otwierają parasole, narzekają na pogodę. A dwa tysiące metrów ponad ich głowami...

Szybowiec, prowadzony ręką rozradowanego pilota, mknie wprost ku burzowym chmurom, omija miejsca niebezpieczne, pnie się coraz wyżej, maleje w oczach. Dla niego nawałnica jest zjawiskiem pomyślnym — „na czoło” burzy sprzyjające prądy powietrza poniosą go na wielokilometrową wysokość, pomogą ustanowić nowe rekordy w IX Krajowych Zawodach Szybowniczych.

Tysiące osób obserwują lot zawodników. Niejeden chłopiec zagapiony w niebo zadaje sobie pytanie: Czy ja mógłbym zostać lotnikiem? Co musiałbym zrobić, aby krążyć w chmurach? Czy to w ogóle możliwe?

Przed pięciu laty jeden z takich chłopców zadawał sobie podobne pytania. Niespełna dziewiętnastoletni Aleksander Pawlikiewicz przywędrował na lotnisko przez nikogo nie zapraszany. Zaczął od przepychania szybowców z hangarów na pola startowe, pomagał w remontach sprzętu, wieczorami robił modele, marzył o lataniu i... nie latał...

Ale niebawem sprawa przybrała nieoczekiwany obrót: młodzień wtargnęła na lotniska — przyjechali junacy SP, przywieźli ze sobą nowowyprodukowane polskie szybowce. Aleksander Pawlikiewicz, syn robotnika, sceptycznie zapatrzył się dotąd na swoją lotniczą przyszłość, przeszedł gruntowne przeszkolenie, otoczony serdeczną opieką ZMP, który go przyjął w swoje szeregi. I wystartował do pierwszego lotu. W 1951 roku ustanowił rekord światowy w przelecie do wyznaczonego celu na dwumiejscowym szybowcu: 511 km, z Wrocławia do Wareża...

Należy więc dzisiaj do „starych”, zasłużonych szybowców. W zawodach poznańskich startuje jako jeden z „faworytów” — nie bez słuszności, bo już pierwsza konkurencja, lot docelowo-szybkościowy na trasie 100 km, przyniesie mu drugie miejsce i krajowy rekord szybkości.

Stoi Pawlikiewicz na jasnozielonej murawie lotniska, mrużąc powieki obserwuje uwijające się wśród obłoków szybowce. To trenują najmłodsi — Kirakowski i Czmielówna. W IX Zawodach, na ogólną liczbę 25 zawodników, 13 startuje po raz pierwszy w krajowej rywalizacji. Nie znaczący wcale, że starsza kadra podupada — oznacza tylko, że młodzi zaczynają latać jeszcze lepiej...

— Dobrze prowadzą maszyny — mówi Pawlikiewicz, wodząc za nimi wzrokiem — latają lepiej niż ja dwa lata temu...

O tę najważniejszą sprawę, o umasowanie szybownictwa, rozgorzała walka już w 1946 roku. Mieliśmy przed wojną nienajgorszych szybowców, ale cudów nie mogli dokazać, bo sport ten, do-



PILOT ANDRZEJ BRZUSKA.

stępny tylko dla zamożnej elity, zablokowany miał dopływ młodych sił. Najcięższy okres, poświęcony odbudowie sprzętu, szkoleniu kadr instruktorskich, werbowaniu młodzieży robotniczej i chłopskiej, to lata 1946, 47, 48... W Szybowniczych Zakładach Doświadczalnych w Bielsku narodziły się znakomite maszyny polskie, zaprojektowane i wykonane przez zespół wybitnych inżynierów. „Mucha”, aparat wyczynowy, na którym startują dzisiaj zawodnicy, należy do najlepszych na świecie.

W IX Zawodach startuje 25 pilotów, a wśród nich 5 kobiet — stanowią oni czołówkę tysięcznego legionu młodych szybowców, szkolonych w specjalnych ośrodkach i terenowych aeroklubach Ligi Lotniczej. Krzątają się teraz koło swych maszyn; jeżeli podejmiemy bliżej, rozpoznamy twarze tyle razy „portretowane” w pismach sportowych: Andrzej Brzuska, Jerzy Wojnar, Lucyna Wlazło, Stanisław Skrzydlewski, Ryszard Bittner... Wielu z nich nosi złote odznaki szybowcowe z dwoma diamentami — nagrody międzynarodowe za

przekroczenie 5000 m wysokości oraz za — ponad 300-kilometrowy lot do wyznaczonego celu.

Młodzież polska pięknie zapisała się w historii światowego szybownictwa. Państwo ludowe pozwoliło jej szeroko rozwinąć skrzydła i wówczas sięgnęła po międzynarodowe rekordy, zdobyła ich pięć, przyćmiła swoim sukcesem jedyny międzynarodowy rekord naszych przedwojennych szybowców.

Droga do takich osiągnięć? Prowadzi oczywiście przez zręczność pilotażu, który nie należy do najłatwiejszych. Jeżeli bowiem samolot porównać można do statku motorowego, to szybowiec jest powietrznym żaglowcem; decyduje tutaj zarówno mózg jak i sprawność fizyczna, wiedza i instynkt, nade wszystko zaś wola i odwaga. Motor nie stacza walki z żywiołem powietrza; człowiek bezpośrednio stawia czoło nie zawsze przyjaznym siłom przyrody — musi pokonać je własną inteligencją.

Co pięć minut z poznańskiego lotniska startuje „Mucha” do lotu treningowego — mamy okazję zaobserwować działanie jej delikatnego organizmu jeszcze przed zawodami...

Obładowany spadochronem pilot zamyka kabinę. Ostatni rzut oka na przyrządy pokładowe: na busolę, wysokościomierz, na sztuczny horyzont, bez którego niemożliwy jest „ślepy” lot w chmurach, na aparat tlenowy.

Samolot holujący zapuszcza motor; człowiek w szybowcu macha ręką: „Pilot gotów, można startować!”

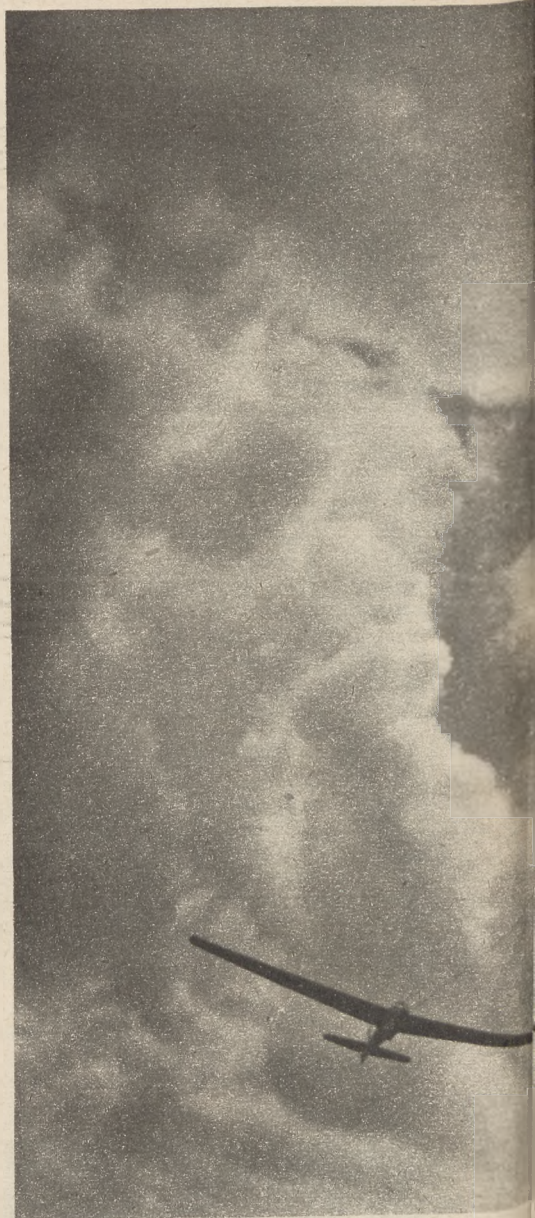
Wypręża się lina i samolot toczy się jeszcze po ziemi, a szybowiec już płynie wolno ponad lotniskiem. Są to może najmniej przyjemne chwile; „Mucha”, niby niewolnik prowadzony na linie, już na kilkudziesięciu metrach nad ziemią czuje powiewy wznoszących prądów powietrza — miota się, wyrzyna do góry i na boki, lecz nieubłagany motor ciągnie ją swoim szlakiem. Ale kiedy znajdują się na kilkusetmetrowej wysokości, kiedy szybowiec poczuje charakterystyczne falowanie wznoszącego prądu, jego pilot pociągnie czerwoną gałkę: opada lina i bezradna na ziemi „Mucha” rozpoczyna życie własnym życiem. Pilot mobilizuje wszystkie swoje umiejętności: albo wykorzysta sprzyjające warunki w powietrzu, albo lotem ślizgowym osunie się powoli na lotnisko.

Laik patrząc w niebo może tylko orzec czy jest pogoda, czy jej nie ma — szybownik odczytuje w powietrzu tysiące rzeczy, nieznanych „ludziom ziemnym”: dla niego swoistą wymowę posiada każdy obłoczek, każde wzniesienie terenu, każdy staw i każda rzeka. Wiadomo mu, że pod tworzącym się „cumulusem”, ową popularną białą chmurką na czystym niebie, odnajdzie prądy termiczne, które poniosą go w górę z szybkością kilku metrów na sekundę. Wie, że nad wyniosłością terenu pociągnie go prąd dynamiczny, wie wreszcie, że „na czoło” burzy osiągnąć może wielkie wysokości. Lawiruje więc i krąży, przeskakuje z jednego „noszenia” na drugie, zwalcza przeciwną wiatry, unika zdradliwych prądów duszących ku ziemi, wznosi się coraz wyżej, aż zniknie z oczu...

Powietrzne manewry pilota obserwują z ziemi koledzy: uczą się na jego błędach i jego zwycięstwach.

Ktoś krytykuje głośno. Rozłożony na skrzydło „Muchy” ogorzały młodzieniec w szortach znajduje posłuch u najmłodszych. Zrozumiałe: jest to Andrzej Brzuska, student AWF, międzynarodowy rekordzista, który oglądał ziemię z wysokości 9293 metrów! W 1950 roku wzbil się na dwumiejscowym „Zurawiu” w niezbadaną, a kuszącą szybownika „stojącą chmurę”.

Człowiek, który przebywał na takich wyżynach, mógłby „dostać zawrotu głowy”. Z Brzuską tak nie jest — pozostał skromny jak dawniej, potrafi krytykować, potrafi, kiedy potrzeba, pochwalić. Jego rekordowy lot dał mu wiele do myślenia; zgłębia teraz naukowe problemy



„MUCHA”, WYHOLOWANA NA LINIE

szybownictwa. Jest on jednym z wielu, którzy praktyką rozszerzają teorię, badają, szukają, konfrontują fakty i twierdzenia — czytają prasę lotniczą polską i zagraniczną. Szczególnie zaś prasę Związku Radzieckiego, kraju najlepszych szybowców.

Jutro start, pierwsza konkurencja Zawodów. Będzie to lot do wyznaczonego celu — dystans jeszcze nieznany, zależny od warunków atmosferycznych. Po nim nastąpi: lot po trasie trójkątnej, docelowo — powrotny, wysokościowy, a wreszcie przelot w dowolnym kierunku, możliwie najdłuższy — jak się to mówi fachowo — „otwarty”. I w tej ostatniej konkurencji otwiera się przed czołówką szybowców nadzieja zdobycia trzeciego diamentu, najwyższej odznaki międzynarodowej dla pilota — „wystarczy” przelecieć ponad 500 km.

Lotnisko przypomina wojskowy biwak przed wymarszem. Dwudziestu

W IX Zawodach startuje 24 pilotów. Półtowa z nich pierwszy raz bierze udział



Powietrzne manewry pilota obserwują z ziemi koledzy: uczą się na jego błędach i jego zwycięstwach. Jest to swego rodzaju praktyczne seminarium pilotażu.





NA KILKUSETMETROWĄ WYSOKOŚĆ, CZUJE FALE WZNOSZĄCEGO PRĄDU...



...WTEDY SZYBOWIEC ODCZEPIA SIĘ I ZACZYNA ŻYC WŁASNYM ŻYCIEM...

pięciu zawodników zagubiło się wśród liczniejszej znacznie grupy ludzi, bez których sukces pilotów jest niemożliwy. Nie trzeba mówić szerzej o mrówczej pracy mechaników; każdy docenia ich trud gwarantujący sprawność i bezpieczeństwo lotu.

Udzielają ostatnich uwag kierownicy zawodów, a wśród nich nieoceniony Tadeusz Góra, wychowawca kilku młodych pokoleń szybowniczej kadry, jeden z dwu ludzi na świecie, szczytujących się trzema diamentami na złotej odznace.

Wspominaliśmy o znaczeniu aury: chodząca przepowiednią pogody i poradnikiem jej wykorzystywania jest mgr Parczewski, meteorolog wyspecjalizowany w zakresie szybownictwa. On udziela każdemu wskazówek i porad, popularyzuje wiedzę meteorologiczną bez specjalnych odczytów i pogadanek, po prostu — w cieniu hangaru czy na trawie lotniska. Niewątpliwie to bezpośrednio „rozpylanie” nauki, te wiadomości, podawane na gorąco i według

aktualnych potrzeb pilota, mają niekiedy większe znaczenie niż dziesiątki podręczników.

A oto inna postać szybowiska: Zbigniew Turowski, 19-letni kierownik spadochroniarni, instruktor Ligi Lotniczej, sam skoczek śmiały zręczny, obdarzony żelaznymi nerwami. Spadochron gwarantuje 100% bezpieczeństwa, jeśli otacza się go czułą opieką — a to zadanie spełnia Turowski bez zarzutu: obecny przy składaniu, magazynowaniu, rozdzielaniu „paraszutów”, poucza i przypomina, dzieli się doświadczeniem swoich znakomitych skoków.

Turowski żyje w serdecznej przyjaźni

z pilotem holowniczego samolotu. Jego rówieśnik, Lech Banasiak, jest synem robotnika z Ostrowca. Jak dziesiątki jego kolegów zrealizował marzenie o lataniu i uczy dzisiaj innych, bierze udział w akcjach opylania lasów, jest tak przydatny, jak tylko przydatnym może być wychowanek lotnictwa w państwie pokoju.

* * *

Nadszedł na koniec dzień zawodów. 24 „Muchy” wyszły w powietrze i jedna za drugą nikły w oddali. Póki jeszcze majaczyła na horyzoncie ostatnia maszyna,

na, setki oczu śledziły z lotniska jej bieg; cała załoga naziemna, od kierownictwa zawodów aż po pomocników mechanikę, sprawdzała rezultaty swojej pracy.

Nie wypowiadało się wielkich słów, ale ze spojrzeń można było odczytać najlepsze życzenia. A więc najpierw rekordów — najlepsi bowiem szybownicy wezmą udział w lipcowym Zlocie Młodych Budowniczych Polski Ludowej. Czołówce naszego szybownictwa — trzeciego diamentu. Wszystkim — takich czynów lotniczych, które — bez względu na sportowy efekt — kształtują charakter młodych zawodników.

METEOROLOG MGR PARCZEWSKI UDZIELA WSKAZÓWEK PRZED STARTEM DO PIERWSZEJ KONKURENCJI.



w konkurencjach ogólnopolskich — jest to dowód sprawności najmłodszych.





DNIA 31 MAJA PUNKTUALNIE O GODZINIE 14 BRZEGI KANAŁU ZATRZĘŚŁY SIĘ OD OKLASKÓW I ENTUZJASTYCZNYCH OKRZYKÓW: NA ODCINKU MIĘDZY SŁUŻ

Zaślubimy rz

EDWARD KARŁOWICZ

W POBLIŻU miasta Kamyszyn nad Wołgą, o 180 kilometrów na północ od Stalingradu, znajduje się niewielka stacja kolejowa Pietrow Wał. Nazwa stacji pochodzi od wielkiego, porośniętego burzanem stepowym wału, usypanego jeszcze za czasów Piotra I.

Od tego właśnie wału zaczynają się dzieje Kanału Wołga-Don. Gdy w roku 1696 Piotr I odebrał Turkom twierdzę Azow, myśl połączenia Wołgi z Donem — złączenia drogą wodną dwóch ekonomicznie ważnych rejonów kraju — nie dawała carowi spokoju.

Piotr I należał do tych nielicznych carów, którzy umieli szybko zabierać się do realizacji swych zamierzeń. Po krótkim czasie na trasie przyszłego kanału pracowało już 35 tysięcy chłopów pańszczyźnianych, jeńców i Kozaków. Kopali oni ziemię łopatami i wynosili ją w workach. W ciągu trzech lat wykopano około 650.000 metrów sześciennych ziemi — ilość na owe czasy bardzo pokaźna, jakkolwiek dziś taką masę ziemi wydobywa jedna koparka krocząca ESZ-14/65 w ciągu pięciu miesięcy...

Później zaczęła się wojna ze Szwedami i budowę zarzucono. Po śmierci Piotra doszedł do głosu książę Golicyn, zaciekły wróg wszystkich śmiałych poczynąń cara. Golicyn zmobilizował przeciwko rozpoczętej budowie szeroki front: od bojarów, którzy nie chcieli wypożyczać chłopów, do wyższego duchowieństwa, które gwałtownie protestowało przeciw „poprawianiu dzieła bożego”. Piotrowe wały zaczęły zarastać burzanem...

W ciągu dwóch następnych wieków niejednen rzeczowy projekt budowy kanału utonął w biurkach carskich u-

rzędników. Raz tylko zdarzyło się, że jakiś petent odniósł pewien sukces: pozwolono mu mianowicie budować kanał... na własny koszt. W roku 1862 połączono Carycyn i Kałacz linią kolejową. Teraz już projekty budowy kanału nie miały żadnych szans: towarzysztwa kolejowe miały dostatecznie duże wpływy, by utracić ewentualnego konkurenta.

GEOLOG Z KARABINEM

W roku 1918 rada komisarzy ludowych na wniosek Włodzimierza Lenina powzięła specjalną uchwałę w sprawie budowy kanału Wołga-Don. Jesienią tegoż roku na trasie przyszłego kanału pojawiły się grupy geologów. Były to jednak czasy, gdy trudno było myśleć o budownictwie — czasy wojny domowej. Na Carycyn maszerowały uzbrojone przez aliantów oddziały białogwardyjskie. I geologowie zamienili młotek i lupę na karabin — jak jeden mąż stawili się do obrony Carycyna, pod dowództwo Józefa Stalina.

Pierwsze plany budowy kanału, jakie opracowywano bezpośrednio po zakończeniu wojny domowej, miały jeden zasadniczy brak: traktowały budowę kanału wyłącznie z punktu widzenia komunikacyjnego. Projekty te zmieniono gruntownie na podstawie wskazówek Stalina. W nowych planach budowa miała rozwiązywać także wiele innych problemów, jak nawodnienie suchych stepów, dostarczenie rolnictwu taniej energii elektrycznej, zwiększenie żeglowności na Donie.

Historia przynosi czasem ciekawe zestawienia. W tych samych stepach między Stalingradem i Kałaczem, gdzie w roku 1952 oddano do użytku jedną z największych budowli współ-

czesności, dziesięć lat wcześniej, w roku 1942, rozstrzygnęły się losy drugiej wojny światowej: Armia Radziecka zadała śmiertelny cios hitlerowskiemu najeźdźcy. I wtedy znów na przedpolach Stalingradu geologowie i ekskawatorzyści z karabinem w rękę bronili prawa do pokojowego budownictwa.

W trzecim roku powojennej pięciolatki, w roku 1948, ożyły stepy między Kałaczem i Stalingradem. Rozpoczęto prace wstępne w tempie, którego nie znali nawet doświadczeni budowniczowie Dnieprogesu i kanału Moskwa-Wołga. W ciągu dni dosłownie wyrastały domy mieszkalne, składy, bocznice kolejowe. W ciągu sześciu lat miał być gotowy kanał z rozległym systemem urządzeń pomocniczych i kanałów nawadniających, wielka zapora i elektrownia, nowe morze.

O DWA LATA SZYBCIEJ

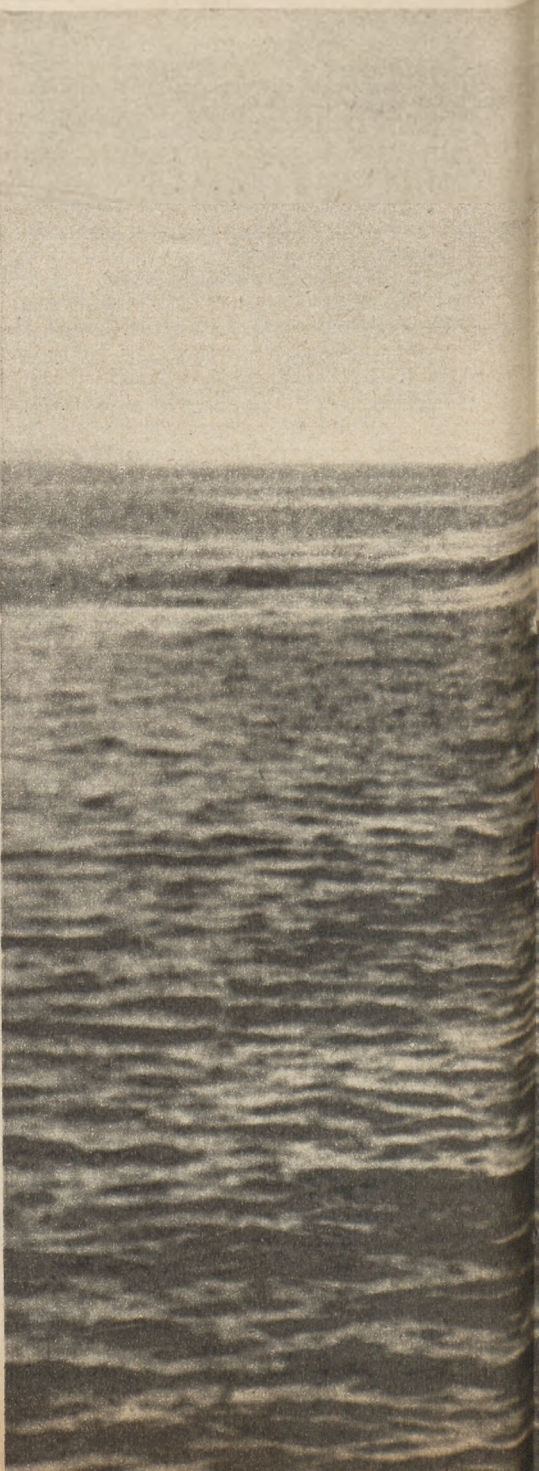
Ale w tym samym czasie w 1500 zakładach przemysłowych, fabrykach i przedsiębiorstwach zaopatrujących wołgo-dońską budowę, rodziły się nowe metody pracy, pojawiały się nowe, doskonalsze maszyny, rosła produkcja. I w grudniu 1950 roku, gdy powojenna pięciolatka została już przedterminowo zrealizowana, rząd ZSRR opublikował uchwałę o zbudowaniu Kanału Wołga-Don do wiosny 1952 roku.

Wiosna w tym roku spóźniła się, ale budowniczowie radzieccy zdążyli na czas. Jeszcze w styczniu wiele odcinków budowy mogło sprawiać wrażenie gigantycznego skupiska potężnych maszyn, wielkich zwałów ziemi, mrowi-

Dokończenie na str. 15

Zdjęcia: W. Noskow, D. Baltermanc, A. Gostiew, A. Sztiejnikow

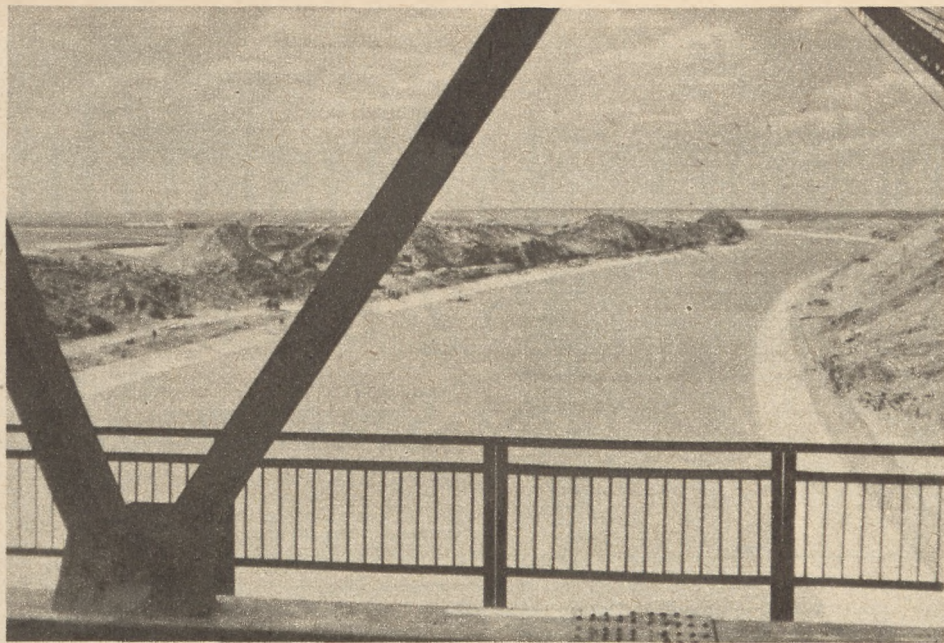
SZEROKO ROZLAŁO SIĘ W STEPACH



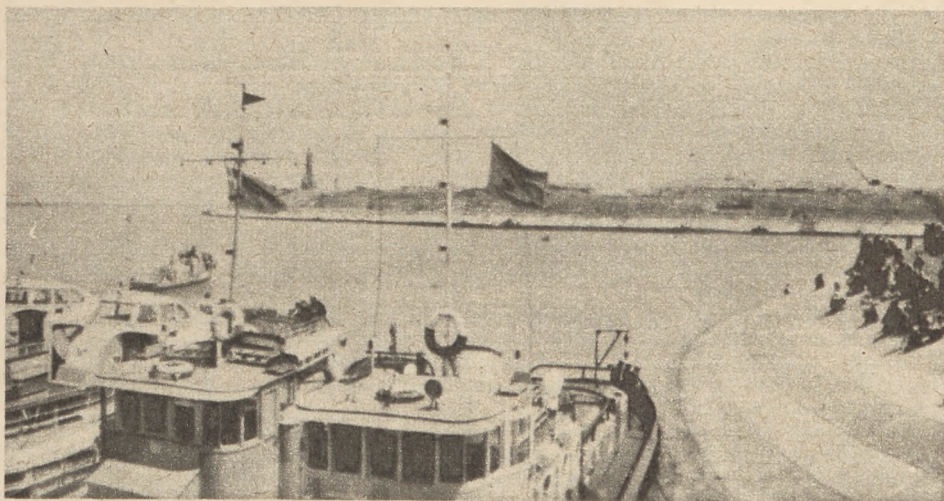


NA 112 POŁĄCZYŁY SIĘ WODY DONU I WOŁGI.

zok

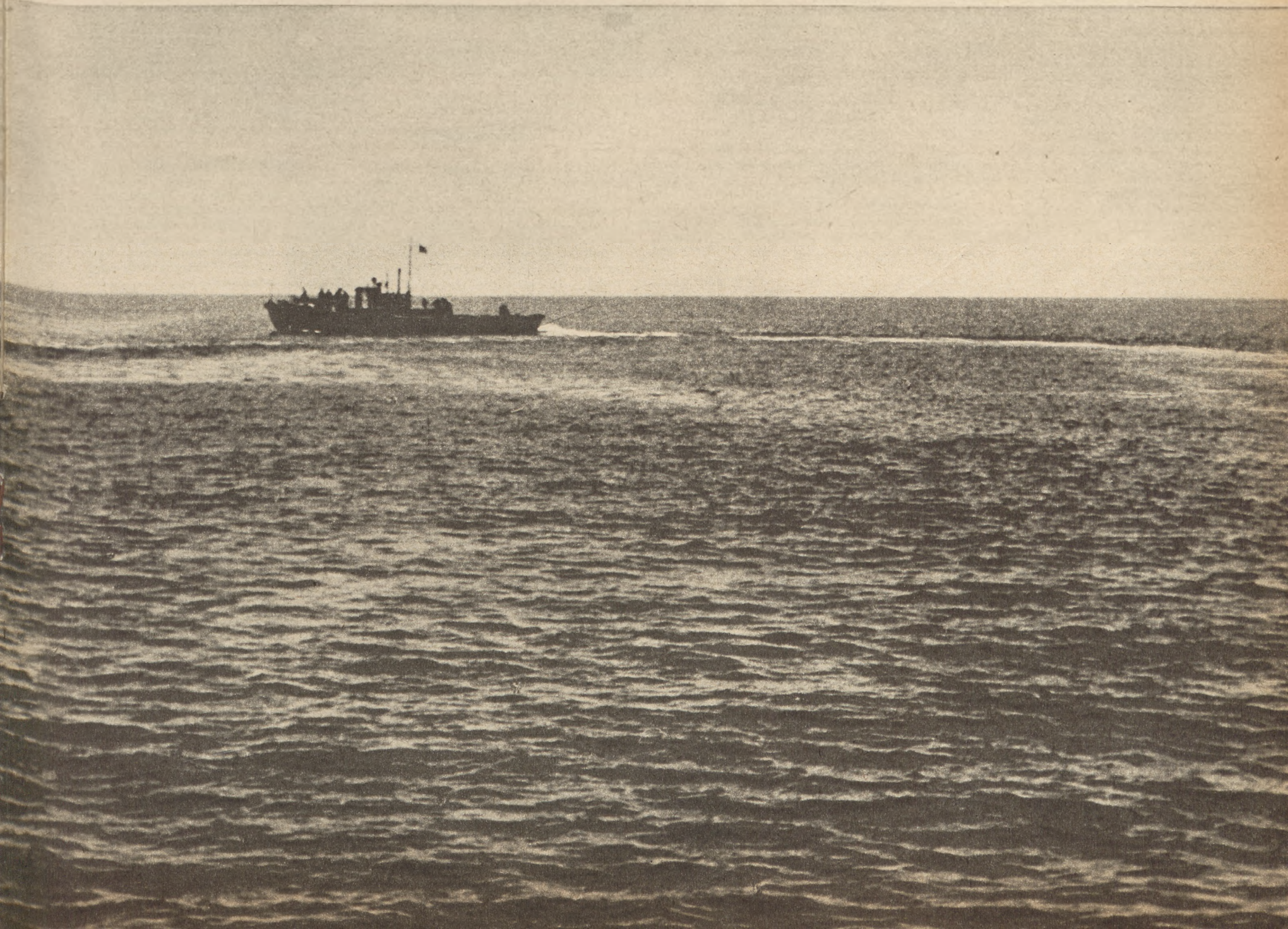


U góry: widok Kanalu Wołga - Don z jednego z niedawno wykończonych mostów kolejowych. Poniżej: u wejścia do Kanalu od strony Wołgi gromadzą się statki.



Na Kanale Wołga-Don panuje dziś ruch. Oto kuter motorowy wpływa na wody Kanalu od strony morza Cymłańskiego.

DONSKICH DWUSTUKILOMETROWEJ BLISKO DŁUGOŚCI SZTUCZNE MORZE CYMLAŃSKIE — DZIEŁO BOHATERSKIEJ PRACY RADZIECKICH BUDOWNICZYCH.



Opis podróży do Australii i pobytu tamże od 1852 do 1856 roku. przez Seweryna Korzelińskiego.

I. W ANGLII

Wstrząśnienia polityczne 1848 i 1849 r. przymusiły wielu szukać schronienia za granicą. Francja, Szwajcaria i inne państwa, dokąd się udawali wychodźcy, stawiały trudności często nie do przełamania, oddalając od swych granic szukających i proszących przytułku; udało się przemknąć pojedynczym tylko, lub znaczniejsi przez znajomość z osobami, mającymi wpływ u rządów, wyjednać sobie mogli paszporty. Dla reszty, ilości znacznej, Anglia jedna stała otworem. Lecz Anglię przygryniał ciężar ludności zrządzonej nagromadzeniem wychodźców z różnych krajów, przez długie lata pomnażany. Późniejsi przybysze, z 1848 i 1849 roku, już byli przeważką nie znajdującą żadnego rządowego wsparcia.

Przewyżka ta była kłopotliwa przy wzrastającej bardzo szybko ludności w Anglii; trzeba było jej pozbyć, bo choć nie przyczyniała ona rządowi angielskiemu wydatków ani o jednego pensa, to przecież już sama obecność większej liczby ludzi w kraju, gdzie wszystko bardzo sztucznie utrzymuje się, zawadą była i ciężarem.

Rząd angielski nie przymuszał nikogo do oddalenia się z Anglii, przeznaczył tylko dwanaście funtów szterlingów na kosztą przejazdu za ocean dla każdego, który by udać się chciał do innej części świata. Pomoc ta zachęcała niejednego przyciśniętego nędzą, albo też szukającego na próżno zatrudnienia w przeludnionym tym kraju, chwycić się środka ostatecznego i szukać za morzem utrzymania, a, co najgłówniejszą, było rzeczą, przedłużyć tymczasowo życie, które nieraz było na wylocie, bo głód i bieda cisnęły okropnie.

Przykre było położenie nasze. Nie umiając języka angielskiego nie podobną było rzeczą przedsięwziąć cokolwiek, a nawet bardzo trudno przychodziło znaleźć zatrudnienie ręczne, bo już sprzykrzyło się Anglikom bezustannie przybywającym wychodźcom znachodzić sposoby zarobkowania. Polaków widzieć można było w kuźniach Birminghamu i Sheffield, przy warsztatach w Manchester, przy piłach trzciny, zamiatających sklepy bławne lub krawieckie, z szydłem i drutem w ręku, w magazynach i składach dźwigających ciężary, a w portach z workami na plecach ładujących węgle.

Zyjąc bez celu, każdy dzień zdawał mi się być wiekiem — umyśliłem więc udać się do Australii. Porozumiałem się w tym względzie z kilkoma innymi ziomkami i zjechałszy się z nimi w Londynie, zawiazaliśmy towarzystwo pracować mające wspólnie w kopalniach przez sześć miesięcy. Fundusze nasze nieznaczne wydane zostały na zakupienie wólu niepotrzebnych rzeczy, nie mogliśmy więc innego na okręcie zapłacić miejsca, jak trzecie, na którym się zwykle tyle jada, ile koniecznie potrzeba do zatrzymania duszy w ciele. To jedno dobre tylko na

Latem 1852 r. przyjechała do Liverpool grupka Polaków, złożona z przebywających na emigracji w Anglii, uczestników walk rewolucyjnych w Europie z okresu Wiosny Ludów. Bezrobocie i nędza, jaka na londyńskim bruku dobrze już dała się naszym rodakom we znaki, zmusiła ich do szukania chleba za oceanem.

Postanowili udać się do Australii, gdzie właśnie zaczęto kopać złoto; wyolbrzymiona wieść o bogactwie tej ziemi zdążyła już obieć przeludnioną i głodną Europę.

Sześciu Polaków zorganizowało coś w rodzaju spółdzielni pracy: mieli wspólnie pracować w kopalniach i dzielić się zarobkiem.

Jednym z organizatorów kolektywu poszukiwaczy złota był Seweryn Korzeliński, szlachcic z Galicji, podoficer jazdy w powstaniu listopadowym i uczestnik rewolucji węgierskiej w latach 1848/49. Podczas kampanii węgierskiej Korzeliński zdobył szlify majora, a po stłumieniu powstania został wraz z generałami Bemem, Dembińskim i Wysockim internowany w Turcji, skąd w r. 1851 przybył do Anglii.

O pełnych egzotyki i obfitujących w przygody dalszych losach Korzelińskiego i towarzyszy mówi pamiętnik, którego fragmenty zaczynamy drukować w „Świecie”.

Notatki starego wiarusa pisane w pośpiechu, czy to na pokładzie statku, w lasach australijskich nocą przy ognisku, czy też podczas krótkiego odpoczynku w kopalni złota — to niezwykle realistyczny obraz życia w koloniach brytyjskich, eksploatowanych nieludźko przez bogaczącą się coraz bardziej burżuazję.

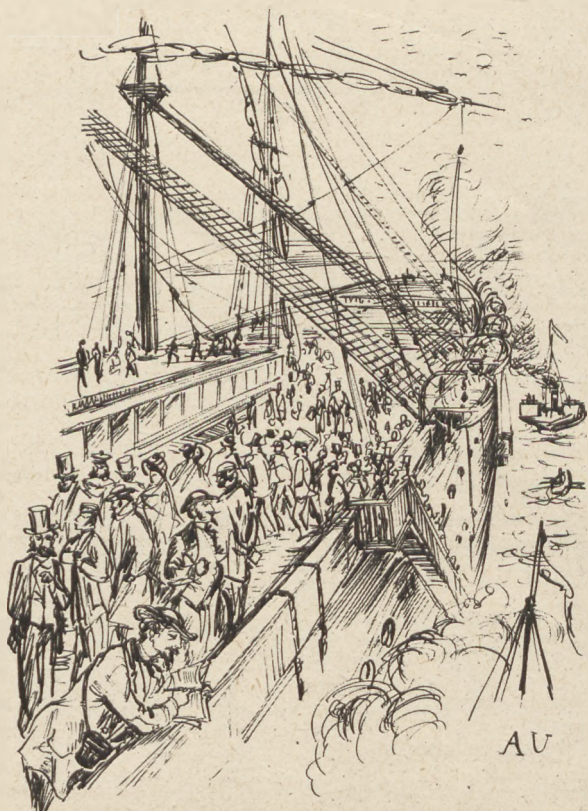
Korzeliński jest spostrzegawczy i dociekliwy, boli go niesprawiedliwość oraz krzywda ludzka, oburza haniebny stosunek białych eksploatatorów do ludów kolorowych. Na kartach swego pamiętnika wielokrotnie potępia system kolonialny i demaskuje zaborcze cele Anglii. A chociaż nie zawsze zdaje sobie sprawę ze współzależności opisywanych zjawisk i nie potrafi jeszcze wyjść myślą poza panujący ustrój — obraz świata oglądany oczami tego żołnierza Wiosny Ludów jest dla nas lekturą pasjonującą.

„Opis podróży do Australii” w opracowaniu Andrzeja Miłosza, z ilustracjami Antoniego Uniechowskiego ukaże się w b. r. nakładem wydawnictwa „Książka i Wiedza”.

parowych okrętach bywa, że nie trzeba samemu jeść gotować, gdy przeciwnie, na żaglowych, pasażerowie trzeciej klasy odbierają żywność w naturze i muszą zależeć od dobrej woli kucharzy, by ich do ognia przypuścili.

II. WYJAZD Z LIVERPOOL

„Kto tam zgadnie, gdzie osiedzisz.
Jaką wodą w świat popłyniesz,



Rys. Antoni Uniechowski

„Piszę zaczynając od 21 sierpnia 1852 roku...”

W której stronie walczyć będziesz,
I od czyjej broni zginiesz”.

(Wincenty Pol)

Piszę, zaczynając od 21 sierpnia 1852 roku, dnia wstąpienia w Liverpool na pokład okrętu „Great Britain” („Wielka Brytania”) zwanego.

Był to podówczas największy okręt, jaki kiedykolwiek zbudowano. Parowiec o śrubie Archimeda siły 500 koni, niósł ładunek wagi 3.000 beczek¹⁾; cztery maszyny do pomocy maszynie wznosiły się nad pokład.

O godzinie drugiej popołudniu majtkowie wyciągając kotwicę zanucili pieśń, pieśń nuconą przy wyjeździe w daleką podróż. W sześciu piecach buchał ogień w głębi okrętu, jak w piekle, z kominów wznosił się dym, para zaszumiała, ogromne stemple²⁾ zaczęły się wznosić, wstrząsł się gmach wodny od końca do końca, śruba zaczęła działać. Zwolna i okręt zaczął posuwać się naprzód otoczony czterema zwyczajnymi parowcami, wydającymi się przy naszym potworze jak dzieci przy matce. Na każdym z czterech parowców muzyka; damy i mężczyźni — wszyscy wystrojeni — odprowadzali krewnych, przyjaciół lub znajomych, płynąc kanałem aż do otwartego morza.

Działa zagrzmiały na naszym okręcie. Trzykrotne hura, wznoszeniem i opuszczaniem bandery żegnała „Wielka Brytania” port Liverpoolu. W jednej chwili wszystkie okręty stojące w porcie okryły się banderami, zagrzmiały salwy z baterii lądowych, a z ust tysięcy ludzi wykrzyk pożegnania wstrząsnął powietrzem. Tysiące chustek powiewały z obydwu stron kanału.

Mnie i małej garstki rodaków nikt nie żegnał. Staliśmy odłączeni od innych, zwróceniu ku stronom rodzinnym z żalem ciężkim w piersiach i ze łzami w oku. Słów tam nie było żadnych, lecz w myśli każdego pytanie: czy też ujrzemy w życiu jeszcze te brzozy?

1) 3000 beczek okrętowych — 3000 ton
2) Stemple — tłoki

Wieczór się zbliżał, trzeba było zejść do kabiny, by uporządkować rzeczy i łóżko, bo trudno było by potem dojść do tadu w miejscu tak ciasnym, zamieszkałym przez czterech, i to na czas długi, bo odległość z Europy do Australii sięga 15 tysięcy mil. Napisać liczbę łatwo, lecz przebyć te niezmierne przestrzenie oceanu jakże ciężko, jak trudno! Zwłaszcza nam, pierwszym podobno Polakom puszczającym się w te nieznane, dalekie kraje zamorskie.³⁾

Pierwszy dzień na okręcie żyje się w chaosie prawdziwym — jeszcze liny, skrzynki, pudełka i tłomoczki porozrzucone, więc pasażerowie znoszą do kabin co potrzebniejsze w podróż, inne rzeczy majtkowie spuszczały w głąb okrętu. Jeszcze wielu nie wie gdzie ich miejsce, a wielu i takich jest, którzy choćby wiedzieli gdzie ich kabina, to by i nie trafili, bo żegnając się z przyjaciółmi za głęboko zajrzeli w szklanki. Jeszcze inni wdychają, płaczą, a dzieci krzyczą, wszyscy się snują, tracą — najlepiej więc położyć się spać, bo i znużenie całodzienną czuść się daje, a jutro będzie inaczej.

Na okręcie rozmiarów tak znacznego śpi się spokojnie. Poruszenia są nieznaczne, choć morze wzruszone. Trzeba wiatru silnego i bałwanów burzą miotanych, by wprawić okręt w wahanie się boczne lub wznoszenie przodu a następnie tyłu; więc, pomimo gwaru trwającego przez większą część nocy, spałem dobrze. Rano wyszedłem na pokład, by jeszcze raz rzucić okiem na brzozy Europy. Już ich widać nie było, już tylko obłoki wielkim okręgiem spoczywały na płaszczyźnie morza.

III. ARYSTOKRATA

Państwo R...d, typ prawdziwej arystokracji angielskiej. On, człowiek młody, zimno i pogardliwie wodził okiem po głowach towarzyszy podróży, bo nosząc nos wysoko, trudno mu było spuścić oczy na proch lichy u stóp jego. Mało z kim wdawał się.

— Kontent jestem — powiedział kiedyś do mnie pan R...d, że przecie w tłumie podróżujących znalazłem na okręcie kilka osób, z którymi żyć będzie można podczas długiej tej podróży bo są gentlemany; reszta wszystko, co tu widzisz, w cudze piórka przystrojone plebejusze. Ten oto z tłustą swą żoną jest synem młynarza — i on wie sam niezawodnie tak dobrze jak jego ojciec, że gips pomnaża wagę maki; tutaj udaje pana i myśli, że go nikt nie pozna. Tamten suchy, co tak unika zetknięcia się z każdym, krawiec — nabierał cokolwiek pieniędzy, nakupił lichych towarów i płynnie obdzierał ludzi w Australii. Tandeta jego na innym okręcie, a on udaje, że dla zdrowia podróżuje na morzu. A cóż myślisz o kobietach? Ot, tamte dwie wystrojone — jedna wiezie trzewiki i kapelusze na sprzedaż, druga sama siebie. Zapłaciwszy za przejazd myśli, że zarazem kupiła sobie prawo mieszać się między ludzi dobrego pochodzenia.

Uśmiechając się słuchałem krytycznego rozbioru pasażerów, wymownie ogłaszanego przez pana R...d, gdy ten, jak gdyby przełknięty, czy nie spoufalili się zanadto z niegodnym siebie człowiekiem, spojrział na mnie i, pół zapytaniem, a w połowie twierdząc, zawołał:

Dalszy ciąg nastąpi

3) Korzeliński mylił się. W Australii spotka wielu Polaków — tam również dowiódł się o Strzeleckim, słynnym badaczu Australii.

nasz fotokorespondenci donoszą

SZKŁO ŁEJSZE OD WODY

Czy szkło może utrzymać się na wodzie jak korek? Na 100 ludzi, którym postawimy to pytanie — 99 odpowie zapewne przecząco. I nie w tym nie będzie dziwnego, gdyż z lekcji fizyki w szkole podstawowej czy średniej dowiedzieliśmy się, że ciężar właściwy szkła jest większy od ciężaru właściwego wody. Tymczasem ta jedna ewentualna odpowiedź twierdząca przy 99 przeczących będzie słuszną. Szkło może pływać po wodzie, nie jest to jednak takie zwykłe szkło, jak to, z którego sporządzone są nasze szczyby — lecz szkło specjalne, zwane piankowym.

Od czasu pierwszych, nieprzezroczystych, mętnawych szyb, którymi zastąpiliśmy błonę rybią zakrywającą otwory okienne, do nowoczesnego szkła nietłukliwego (securite) — przemysł szklarski poczynił duże postępy. W porównaniu jednak z innymi przemysłami pozostał w tyle. Do roku 1950 nie umieliśmy produkować lekkiego szkła, szkła, które byłoby lżejsze od wody.

Zapotrzebowanie na to szkło było jednak widać olbrzymie, gdyż sprawą zainteresował się

Instytut Chemii Przemysłowej w Warszawie. Równocześnie badania na własną rękę rozpoczął główny technolog z walczyńskiej huty szkła „Lustrzanka”, inż. Jan Chmieleński. Próby odbywały się jednocześnie w instytucie i w małej pracowni laboratoryjnej na Dolnym Śląsku. Był to rok 1947 — pierwszy rok naszej planowej gospodarki. Po dłuższych próbach inż. Chmieleńskiemu udało się uzyskać lżejsze od wody szkło piankowe. Jakkolwiek był to wielki triumf — zagadnienie nie zostało jeszcze całkowicie rozwiązane. Szkło piankowe można było bowiem otrzymywać tylko w małych, niekształtnych bryłach. Próby przejścia na produkcję wielkich, regularnych form nie dawały na razie rezultatu.

Wielu ludzi zraziłoby się, gdyby musiało dzień po dniu ścierać w wysokiej temperaturze, ścierając pot z czoła i nie widząc przez długi czas rezultatu swojej pracy. Inż. J. Chmieleński nie zraził się jednak nawet wówczas, gdy w trakcie swoich badań i dociekań wpadł na ślad doświadczeń nad szkłem piankowym, prowadzonych przez uczonych

niemieckich i — zakończonych fiaskiem.

Minęły lata 1947, 1948 i 1949. Badania poszły naprzód. W małym laboratorium rozwiązywano powoli duże zagadnienie. Rok 1950 przyniósł spodziewany wynik. Ustalono sposoby otrzymania dowolnych form szkła piankowego.

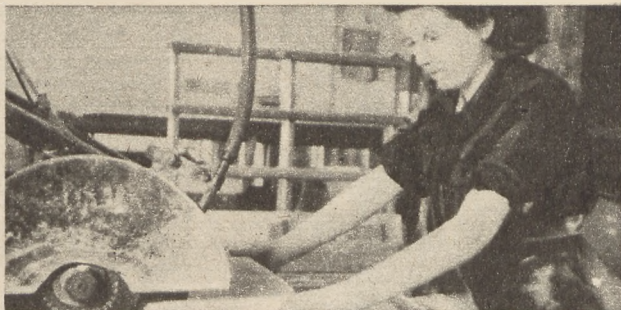
Zdarza się, że dane wypracowane przy stole laboratoryjnym zawodzą w zetknięciu się z produkcją. Wytapowano więc w „Lustrzance” jeden piec tunelowy, gdzie odbyć się miały próby praktyczne. W wyniku prób szkło piankowe o dowolnych kształtach, lżejsze od wody i pływające po niej jak korek — ujrzało światło dzienne.

Znaczenie tego odkrycia jest duże. Ze szkła piankowego możemy otrzymywać lekkie cegły do budowy domów. Ze szkła piankowego otrzymamy również płyty izolujące — termicznie i akustycznie. Znajdą one zastosowanie w studiach radiowych, budkach telefonicznych, fabrykach płyt gramofonowych itp.

Fin i Mieczysławski —
Walczyńskich



Inżynier Chmieleński bada wyprodukowane szkło piankowe.



Cegła sporządzona ze szkła piankowego jest nie tylko trzykrotnie lżejsza od normalnej, lecz daje się obrabiać jak drewno.

BUDUJEMY OSIEDLE JEŁONKI

Budujemy na Jełonkach Osiedle mieszkaniowe dla radzieckich robotników, techników i inżynierów — budowniczych Pałacu Kultury i Nauki. Wytyczamy wszystkie siły, aby jak najprędzej mogli zamieszkać w przeznaczonych dla nich domkach, aby jak najprędzej mogli przystąpić do swej pracy.

16 maja b.r. Zarząd Budowy przekazał radzieckim towarzyszom pierwsze 24 całkowicie wykończone już budynki.

Kierownictwo budowy oświadczyło, że jest to niemała zasługa naszej przodującej brygady, która idąc w pierwszej linii robót, pociągała za sobą całą załogę.



Sypanie leszu na transporter. Na zdjęciu Władysław Fabisiak i Edward Grudziński przy pracy

Na masowce naszej załogi zobowiązaliśmy się skrócić czas wykopów na I odcinku robót z 12 na 9 roboczo-godzin.

W rezultacie poza odcinkiem I wykonaliśmy jeszcze 13 wykopów na odcinku II, i to na 2 tygodnie przed przewidzianym terminem, a zaoszczędzony czas zużytkowaliśmy na dodatkową pracę — na gruzowanie i zabetonowanie łazienek i werand, zasypywanie ziemią pod gruzobeton oraz plantowanie terenu koło baraków.

Nasze osiągnięcia zawdzięczamy temu, że pracujemy zespołowo, nie dopuszczając, aby któryś z członków naszej brygady pozostał w tyle.

Przejdziemy także i stosujemy w naszej pracy doświadczenia naszych radzieckich towarzyszy, również zatrudnionych przy budowie Osiedla.

Obecnie pracujemy przy leżeniu stropów w barakach; jest to po wykopach drugie stałe nasze zajęcie na placu budowy Osiedla.

Wyrabialiśmy ostatnio 362% normy, ale w chwili obecnej przekroczyliśmy 400% i staraliśmy się o jeszcze lepsze wyniki.

Franciszek Beta, Władysław Fabisiak, Edward Grudziński, Bronisław Bandtkowski, Feliks Sapiaska i Józef Fabisiak. Jełonki, Osiedle.

DWA PLANY W JEDNYM

Zakłady im. J. Stalina w Poznaniu są jednym z największych ośrodków przemysłowych w Polsce, drugim obok „Pafawagu”, produkującym parowozy. Ponieważ od komunikacji i transportu zależy w znacznym stopniu ogólny rozwój gospodarki w kraju, tu przy tokarkach, frezarkach i obrabiarzach trwa uparta, ofiarna walka o zrealizowanie planu produkcji.

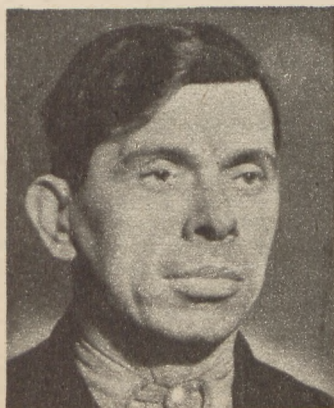
Czterech naszych pracowników już w pierwszych miesiącach bieżącego roku wykonało wszystkie zadania przypadające na nich w

Planie 6-letnim. Są nimi: Antoni Rymaniak, Edward Januchowski, Stefan Ławniczak — wszyscy z oddziału W-3, którzy osiągnęli przeciętnie od 500 do 600% normy, oraz Stanisław Górny z oddziału W-6, który osiąga przeciętnie 300 — 500% normy.

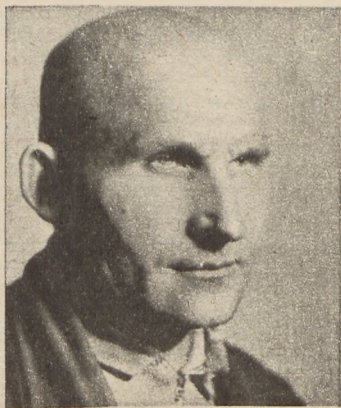
Pomocą w tej wytyczonej walce o przekroczenie Planu jest świadomość, że cały naród ceni i szanuje robotnika i jego pracę. Świadczy o tym wypowiedź Antoniego Rymaniaka, który jako drugi w Polsce wyko-

nał Sześciolatkę: „Przodownicy pracy otoczeni są powszechnym szacunkiem całego narodu polskiego. Wdzięczny jestem naszej Partii i Rządowi za troskliwą opiekę — wdzięczny Polsce Ludowej, w której praca jest sprawą honoru i obowiązkiem każdego obywatela. Jako świadomy robotnik zobowiązuje się zdwoić swe wysiłki i do końca Planu 6-letniego wykonać jeszcze jeden Plan 6-letni”.

Włodzisław Kujawa,
Zakłady im. J. Stalina w Poznaniu



A. Rymaniak, jako drugi w Polsce wykonał Plan 6-letni. Odznaczony Srebrnym Krzyżem Zasługi



St. Górny, doskonały fachowiec w narzędziownictwie. Odznaczony Orderem Sztandaru Pracy II klasy



Edward Januchowski, który wraz ze Stefanem Ławniczakiem (4) ukończył swój Plan 6-letni w lu-



tym b.r. W uznaniu ich zasług państwo odznaczyło ich Srebrnym Krzyżem Zasługi

W WIELKIM STAWIE UTONĄŁ NIEDŹWIEDŹ



Dopiero przybycie meża wyjaśniło sytuację: ślady wskazywały, iż niedźwiedź odszedł od schroniska. Ale dziwne było, że jego ślady ginęły na brzegach Wielkiego Stawu. W istocie — niedźwiedź utonął. Prawdopodobnie krucha już pokrywa lodowa załamała się pod ciężarem zwierzęcia.

Niedźwiedzia wydobyto i przetransportowano do wypochnia do Krakowa. Niezwykłe wydarzenie wywołało sensację w Zakopanem i w okolicy. Tak zginął jeden z nielicznych już okazów niedźwiedziego rodzaju.

Zofia Zwolińska — Zakopane

ZAŚLUBINY RZEK

Dokończenie ze str. 13

ska traktorów i aut-wywrotek. Ale w tym pozornym chaosie trwała wytyczona praca, obliczona już nie na dni i tygodnie, ale na minuty.

Jakkolwiek przyzwyczailiśmy się już do tempa Nowej Huty i Żerania, to jednak trudno nam jeszcze sobie wyobrazić, jakiej niesłychanej precyzji wymagała organizacja olbrzymich robót na Kanale Wołga-Don. Miliony kubometrów ziemi, tysiące ton betonu i stali, wielokilometrowe odcinki robót, setki olbrzymich, ale dokładnych maszyn i mechanizmów — wszystko to musiało grać jak najlepsza orkiestra symfoniczna. Ludzie wielkiej budowy zdali niezwykle trudny egzamin — egzamin tym potrzebniejszy, że teraz czeka na nich Kujbyszew, Krym, Amu Daria...

WIELKI DZIEŃ

Nadszedł 31 maja — dzień, na który czekali nie tylko budowniczowie Kanału, ale miliony ludzi w Związku Radzieckim i za jego granicami. Na odcinku Kanału między śluzami Nr 1 i Nr 2 zebrały się tłumy. Z błyskawiczną szybkością rozchodziła się każda wieść o posuwaniu się wód dwóch wielkich rzek. O świcie woda Donu minęła śluzę Nr 4. Rano rozeszła się wiadomość, że Don dotarł do śluzy Nr 3. Potem godziny oczekiwania i nawet pewien niepokój: dlaczego nie pokazuje się jeszcze woda? Okazało się, że Don wypełnia właśnie między śluzami Nr 3 i Nr 2 obszerny basen, w którym będą się mijać przepływające statki.

O godzinie 13.35 woda Donu pojawiła się w komorze śluzy Nr 2. W kilka minut później od strony śluzy Nr 1 poczęły płynąć wody Wołgi. Don już jest pod nowym mostem kolejowym — i równocześnie Wołga przepływa pod mostem drogowym. Za chwilę obie rzeki spotkają się...

Punktualnie o godzinie 14.00 brzegi Kanału zatrząsły się od okrzyków: połączyły się wody Donu i Wołgi! Tłum drgnął, zafalował, ludzie poczęli bieć ku wodzie, zanurzać w niej ręce... Wkrótce trzeba było się cofnąć: wody napływało coraz więcej, koryto wielkiego Kanału napelniało się szybko. A w niewiele godzin potem ruszyły w drogę po Kanale Wołga-Don pierwsze statki i barki.

W kilka dni później zapanował ruch w drugim końcu Kanału, tam, gdzie zaporą długości 13,5 kilometra przecina morze Cymlańskie: 6 czerwca generatory Cymlańskiej Elektrowni Wodnej zostały włączone do sieci.

Dziś nad Kanalem nie widać już długich ramion koparek, nie słychać nieprzerwanego łoskotu automatycznych betoniariek. Przez śluzy przepływają statki, po stepie rozlega się echo ich syren. Stacje hydrometeorologiczne nadają komunikaty o wysokości fali i kierunku wiatrów na morzu Cymlańskim, przez kanały nawadniające płynię na pola kołchozowe życiodajna woda, w halach wielkiej elektrowni szum cicho generatory.

Jeszcze tak niedawno czytaliśmy o ogromie prac, które czekają budowniczych: kanał — 35 milionów kubometrów robót ziemnych, węzeł Cymlański — 80 milionów. Śluzy i stacje pomp pochłona 2 milionów ton betonu, elektrownia — setki wagonów skomplikowanych urządzeń. Dziś — wszystko to pracuje dla narodu radzieckiego, dla potęgi wielkiego państwa socjalizmu, pracuje dla pokoju.

EDWARD KARŁOWICZ

TRZY PORTRETY

Przełożył PAWEŁ HERTZ — Ilustrował LEON MICHALSKI

(2)

Po pewnym czasie usłyszał, że ktoś ostrożnie stuka do drzwi. Otworzył i w progu ujrzał bladego, drżącego Judicza, który trzymał w ręku klucz. Wasilij natychmiast wszystko zrozumiał. Z początku długo odmawiał. Judicz powtarzał ze łzami: „Ależ panicz, niechże panicz weźmie...”. Wreszcie Wasilij się zgodził. Działo się to w poniedziałek. Wasilij wpadł na pomysł, żeby zamiast pieniędzy włożyć do worka skorupy potłuczonych garnków. Liczył na to, że Iwan Andreicz uderzając laską po workach nie zwróci uwagi na ledwo dostrzegalną różnicę dźwięku — a miał nadzieję, że do soboty zdobędzie pieniądze i włoży je z powrotem do kufra. Jak pomyślał — tak zrobił. Ojciec rzeczywiście nic nie zauważył. Ale Wasilij nie zdobył pieniędzy do soboty. Spodziewał się, że ogra pewnego bogatego sąsiada, a tymczasem sam wszystko przegrał. A tu nadeszła sobota. Kolej przyszła wreszcie na worki nabite skorupami rozbitych garnków. Możecie sobie, moi panowie, wyobrazić zdumienie Iwana Andreicza!

— Co to znaczy? — huknął.

Judicz milczał.

— Tyś ukradł pieniądze?

— Nie, proszę łaski pana.

— Więc ktoś brał od ciebie klucz?

— Nikomu nie oddawałem klucza.

— Nikomu? No, jeśli nikomu, toś ukradł. Przyznaj się!

— Nie ukradłem, Iwanie Andreiczu.

— Skądże więc do licha wzięły się te skorupy? Oszukujesz mnie? Ostatni raz mówię — przyznaj się!

Judicz schylił głowę i założył ręce na grzbiecie.

— Ej, służba! — zawołał wściekłym głosem Iwan Andreicz. — Kije!

— Co? Mnie... — wyszeptał Judicz.

— Tak ciebie! Czy jesteś lepszy od innych? Złodzieju! No, Judicz, nie spodziewałem się po tobie takiego łotrostwa!

— Posiwałem służąc panu — wyrzekł z trudem Judicz.

— A co mnie obchodzą twoje siwe włosy? Niech cię diabli wezmą z twoją służbą!

Tymczasem weszli ludzie z kijami.

— A no, bierzcie go! Wsypcie mu jak należy!

Iwanowi Andreiczowi pobladły i zatrzęsły się wargi. Chodził po pokoju jak dzikie zwierze po klatce.

Ludzie nie śmieli spełnić jego polecenia.

— Czego stoicie, chamskie plemię? Może mam sam się wziąć do tego, co?

Judicz zbliżył się ku drzwiom.

— Stać! — zawołał Iwan Andreicz — Judicz, mówię ci po raz ostatni, proszę cię, przyznaj się!

— Nie mogę — wyjącał Judicz.

— No to bierzcie go, starego szelmę! Na śmierć go zasieć! — krzyknął wściekłe starzec. Zaczęły się tortury.

Nagle otworzyły się drzwi i wszedł Wasilij. Był chyba jeszcze bledszy niż ojciec, ręce mu drżały, górna warga uniosła się nieco i odsłoniła rząd białych, równych zębów.

— Ja jestem winny — powiedział przytłumionym, lecz stanowczym głosem. — Ja wziąłem te pieniądze.

Ludzie zatrzymali się.

— Ty? Jaktó? Waśka? Bez zgody Judicza?

— Nie — rzekł Judicz. — Z moją zgodą. Sam dałem klucz paniczowi. Boże, Wasiliju Iwanowiczu, dlaczego panicz tu przyszedł?

— A więc okazało się, kto jest złodziejem! — wykrzyknął Iwan Andreicz. — Dziękuję ci, Wasiliju, dziękuję! Ale tobie, Judicz, nie daruję. Dlaczegoś mi od razu nie powiedział? Ej, wy! Czego stoicie? Kto tu jest panem? A z tobą się rozprawię — dodał, zwracając się do Wasilija.

Ludzie znów chcieli wziąć się do Judicza.

— Nie ruszajcie go! — wyszeptał przez zaciśnięte wargi Wasilij.

Służba go nie usłuchała. — Odejdźcie! — zawołał i rzucił się na nich. Odszkodzili.

— Aha, sprzeciwiasz się mojej woli! — wystękał Iwan Andreicz i podniósłszy laskę ruszył na syna.

Wasilij odskoczył w bok, chwycił za rękojeść szpady i do połowy wyciągnął ją z pochwy. Wszyscy zadrżeli z przerażenia. W drzwiach zwabiona hałasem stanęła blada, wylekta Anna Pawłowna.

Twarz Iwana Andreicza przybrała straszny wyraz. Zachwiał się, laska wypadła mu z rąk, ciężko osunął się w fotel i zakrył twarz obiema dłońmi. Nikt nie ruszał się z miejsca, wszyscy stali jak wryci nie wyłączając Wasilija, który kurczowo ścisnął w dłoni stalową rękojeść szpady. Jego oczy błyszczały pośpiech i groźnie...

— Wszyscy precz stąd — powiedział cicho Iwan Andreicz, nie odrywając rąk od twarzy.

Wszyscy wyszli. Wasilij zatrzymał się w progu, potem potrząsnął nagle głową, uściśnął Judicza, ucałował rękę matki... i w dwie godziny potem nie było go już we wsi. Pojechał do Petersburga.

Tego wieczora Judicz siedział na ganku czworaków. Wokół niego gromadzili się ludzie, współczuli mu i nie szczędzili gorzkich słów panu.

— Dość, dzieci — rzekł wreszcie Judicz — dość... nie pomstujcie na niego. On sam pewnością nie rad jest swojemu losowi...

W następstwie tego wydarzenia Wasilij nigdy już więcej nie widział swojego ojca. Iwan Andreicz umarł pod jego nieobecność, a umarł zapewne z taką zgryzotą w sercu, od jakiej niechże Bóg zachowa każdego z nas. Tymczasem Wasilij Iwanowicz był w świecie, żył wesoło jak zwykle i rzucał pieniędzmi. W jaki sposób dostawał te pieniądze, tego nie potrafię powiedzieć. Znalazł sobie służącego, Francuza, sprytnego, zmyślnego chłopca, niejakiego Boursier'a. Człowiek ów namyślił się przywiązać do swojego pana i pomagał mu we wszystkich jego licznych sprawkach. Nie będę panom dokładnie opowiadał o swawolach mojego *grand'oncle*,



który odznaczał się tak bezgraniczną zuchwałością, taką węzową chytrą, tak nieprawdopodobnie zimną krwią, tak subtelnym i przebiegłym umysłem, że muszę przyznać, iż doskonale rozumiem ową nieograniczoną władzę, którą ten niemoralny człowiek sprawował nad najbardziej szlachetnymi duszami.

Niebawem po śmierci ojca Wasilij Iwanowicz, mimo całej swej przebiegłości, został wyzwany na pojedynek przez jakiegoś urażonego w swoim honorze męża. Wasilij Iwanowicz stanął na placu, ciężko zranił rywala i musiał opuścić stolicę: otrzymał rozkaz przeniesienia się do swojej posiadłości i przebywania tam, bez prawa wyjazdu. Wasilij Iwanowicz miał trzydzieści lat. Łatwo możecie sobie wyobrazić, moi panowie, z jakim uczuciem wracał w ojczyste strony ów człowiek, przywykły do wytwornego, stołecznego życia. Powiadają, że po drodze często wychodził z kibitki, padał twarzą w śnieg i płakał. Nikt w Łucznowce nie mógł poznać dawnego, wesołego Wasilija Iwanowicza. Z nikim teraz nie rozmawiał, od rana do wieczora polował, z widocznym zniecierpliwieniem znosił nieśmiałe pieszczoty matki i bezlitośnie natrząsał się ze swoich braci i ich żon (oba już zdążyli się ożenić)... Dotychczas nie zdaje się nie wspominał panom o Oldze Iwanownie. Przywieziono ją do Petersburga, gdy była jeszcze niemowlęciem. Omal nie umarła w drodze. Olga Iwanowna była wychowana, jak się to mówi, w bojaźni bożej i w bezgranicznym posłuszeństwie dla rodziców... Trzeba przyznać, że zarówno Iwan Andreicz jak i Anna Pawłowna obchodzili się z nią jak z własną córką. Ale w Oldze Iwanownie tliła słaba isierka tego ognia, który tak jasno płonął w duszy Wasilija. Tymczasem — choć rodzone dzieci Iwana Andreicza nie śmiały nawet myśleć o przyczynach dziwnej, milczącej niezgody między ro-

dzicami — Olę od wczesnego dzieciństwa niepokoiła i dręczyła sytuacja Anny Pawłowny. Podobnie jak Wasilij kochała niezależność, oburzała ją wszelki przymus. Całym sercem przywiązała się do swojej opiekunki. Starego Łucznowa zaś nienawidziła i nieraz, przy stole, spoglądała na niego takim wzrokiem, że nawet słuchający, który podawał potrawy, odczuwał lęk. Iwan Andreicz nie spostrzegał tych spojrzeń, bo w ogóle nie zwracał uwagi na swoją rodzinę.

Z początku Anna Pawłowna usiłowała wytepić w niej tę nienawiść — ale niektóre odważne pytania Olgi zmusiły ją do całkowitego milczenia. Dzieci Iwana Andreicza uwielbiały Olę, a stara także ją kochała, chociaż nie tak gorąco. Długotrwałe nieszczęście stłumiło w tej biednej kobiecie wszelką radość, wszelkie silniejsze uczucie; nic tak dobitnie nie dowodzi, że Wasilij miał jakiś czarodziejski dar zjednywania sobie ludzi, jak to, że potrafił zmusić nawet swoją matkę, by go szczerze i gorąco pokochała. Nie było w zwyczaju w owych czasach, by dzieci okazywały swoje uczucia, nic więc dziwnego, że Olga nie śmiała okazywać swego przywiązania, choć zawsze ze szczególną czcią całowała na dobranoc rękę Anny Pawłowny. Czytać i pisać ledwie umiała. W dwadzieścia lat później młode Rosjanki zaczęły coś tam czytać, jakieś romanse w guście „Przygód markiza G.” „Fanfana i Loloty” — Aleksieja, czyli „Chatki w lesie”. Zaczęły się uczyć gry na klawikordzie, a także pieśni, jak na przykład tej, niegdyś tak znanej:

„Mężczyźni w całym świecie
Jak muchy do nas lgną...” itd.

Ale wówczas, w siódmym dziesiątku ubiegłego stulecia (Olga Iwanowna urodziła się w roku 1757), nasze wiejskie piękności nie miały pojęcia o tych wszystkich udoskonaleniach. Trudno nam teraz sobie wyobrazić, jak wyglądała w owym stuleciu rosyjska panna. Możemy co prawda według naszych babek sądzić o stopniu wykształcenia szlachcianek w epoce Katarzyny. Ale jakże mamy odróżnić to, co nabyły w ciągu swojego długiego życia, od tego, czym były w dniach swojej młodości?

Olga Iwanowna mówiła trochę po francusku, ale z silnym rosyjskim akcentem. Słowem — mimo tych wszystkich zalet była jednak jeszcze porządna dzikuska i zdaje się, że w prostocie serca nieraz własnoręcznie karała jakąś nieszczęsną pokojówkę... Na krótko przed przyjazdem Wasilija Iwanowicza postanowiono wydać Olę Iwanownę za męża za sąsiada, Pawła Afanasjewicza Rogaczewa, najpocziwszego i najuczciwszego człowieka pod słońcem. Natura zapomniała obdarzyć go żółcią. Jego własna służba go nie słuchała, czasem wszyscy wychodzili i zostawiali biednego Rogaczewa bez obiadu... ale nic nie mogło zamącić spokoju jego duszy. Od wczesnych lat Rogaczew odznaczał się otyłością i był niezgrabny; nie zajmował żadnego stanowiska, lubił chodzić do cerkwi i śpiewać na chórze. Przyjrzyjcie się, panowie, tej pocziwej, okrągłej twarzy. Spójrzcie na ten spokojny, radosny uśmiech... aż sami czujecie radość, prawda? Stary Rogaczew dawnymi laty był kiedyś w Łucznowce i przywoził ze sobą Pawłuszę, którego mali Łucznowowcy dręczyli na wszelkie sposoby. Pawłusza wyrósł, sam zaczął bywać u Iwana Andreicza, zakochał się w Oldze Iwanownie i ofiarował jej rękę oraz serce — nie jej bezpośrednio, tylko jej dobroczyńcom. Dobroczyńcy wyrazili zgodę. Nikt nawet nie pomyślał, by zapytać Olę Iwanownę, czy Rogaczew się jej podoba? W owych czasach, jak mawia babcia, „nikt nawet nie myślał o takich zbytkach”. Zresztą Olga niebawem przyzwyczaiła się do swojego narzeczonego, nie można bowiem było nie przywiązać się do tak łagodnej i dobroduszej istoty. Rogaczew nie otrzymał żadnego wykształcenia. Po francusku potrafił powiedzieć tylko „bon žur(**)” i w dodatku uważał w skrytości ducha, że to jest nieprzyzwoite słowo. Prócz tego jakiś kpiarz wyuczył go jeszcze następującej, rzekomo francuskiej piosenki: „Sonieczka, Sonieczka! Ke-wu-le-wu-de-mua-uwieliabiam cię me - žen - pe-pa(***)... Tę piosenkę nucił zawsze półgłosem, kiedy był w dobrym humorze. Ojciec jego był również człowiekiem nieopisanego dobroci. Chodził wiecznie w długim nankinowym surducie i potakiwał wszystkiemu z uśmiechem, bez względu na to, co do niego mówiono. Od chwili zaręczyn Pawła Afanasjewicza obaj Rogaczewowie — ojciec i syn — krzątali się nieustannie. Przebudowywali dwór, dostawali przeróżne „galeryje”, życzliwie gawędzili z robotnikami: częstowali ich wódką. Do zimy nie zdążyli z przebudową, odłożyli więc ślub na lato. Latem umarł Iwan Andreicz — odożono więc wesele do wiosny; zimą przyjechał Wasilij Iwanowicz. Przedstawiono mu Rogaczewa, przyjął go chłodno i niedbale, a następnie z biegiem czasu tak go wystraszył swoją wyniosłością, że biedny Rogaczew drżał jak liść

(*) Dzień dobry (w oryg. fonetycznie)

(**) Czego chcesz ode mnie... ale nie mogę (w oryg. fonetycznie).

na sam jego widok, milczał i uśmiechał się z przymusem. Wasilij raz omal go naprawdę nie dobił, idąc z nim o zakład, że nie potrafi przestać się uśmiechać. Biedny Paweł Afanasjewicz prawie płakał ze zmięszania, ale rzeczywiście: najbardziej głupi, wymuszony uśmiech nie chciał zniknąć z jego spoczonej twarzy. Wasilij zaś spokojnie bawił się końcami swojego fularu owiązanego wokół szyi i spoglądał na Rogaczewa troszkę już zbyt pogardliwie. Ojciec Pawła Afanasjewicza również dowiedział się o przyjeździe Wasilija i w kilka dni później — by nadać wszystkiemu „więcej powagi” — udał się do Łuczynowki, zamierzając „pозdrowić miłego gościa, który przybył w ojczyste strony”. Afanasij Łukicz słynął w całej okolicy z daru wymowy, czyli z umiejętności wygłaszania bez zająknięcia dość długich i kunsztownie ułożonych przemówień, z lekka okraszonych górnolotnymi wyrażeniami. Niestety! Tym razem Afanasij Łukicz niczym nie usprawiedliwił swojej sławy: skonfundował się o wiele bardziej niż jego syn, Paweł. Wybąkał kilka zupełnie niezrozumiałych słów i choć nigdy w życiu nie pijał wódki, tym razem wypłynął kieliszeczek dla kontenansu (Wasilij siedział właśnie przy śniadaniu) chciał przynajmniej odchrząknąć, by dodać sobie animuszu, ale nie wydał nawet dźwięku. W drodze powrotnej Paweł Afanasjewicz szeptem zapytał swojego rodzica: „I cóż, ojcze?”, na co Afanasij Łukicz, również szeptem, odparł gniewnie: „Nie mów nawet!”

Rogaczewowie zaczęli rzadziej bywać w Łuczynowce. Zresztą Wasilij wystraszył nie tylko ich; takie samo uczucie mimowolnego, przykrego lęku wzbudzał w swoich braciach, w ich żonach, a nawet w samej Annie Pawłownie. Zaczęto go unikać wszelkimi sposobami. Wasilij nie mógł tego nie zauważyć, ale nie miał widocznie zamiaru zmienić swojego sposobu postępowania. I nagle w początkach wiosny stał się znowu uprzejmy i miły, taki, jakim go wszyscy znali dawniej.

Pierwszą oznaką tej nagłej zmiany była nieoczekiwana wizyta Wasilija u Rogaczewów. Związczą Afanasija Łukicza obiecał solidny strach na widok kolaski Łuczynowa, ale strach ten znikł bardzo prędko. Wasilij nigdy nie był uprzejmiejszy i weselszy. Wziął młodego Rogaczewa pod ramię, poszedł z nim, by obejrzeć roboty, gawędził z cieślami, dawał im rady, sam robił nacięcia na belkach przy pomocy siekiery, kazał sobie pokazać konie z hodowli Afanasija Łukicza, sam je oprowadzał za uzdę — i okazując pocziwym hreczkosiejom uprzejmość i życzliwość doprowadził do tego, że obaj kilkakrotnie ściskali się z nim bardzo serdecznie. W domu Wasilij w ciągu kilku dni również wszystkich oczarował: urządzał przeróżne zabawy, sprowadził muzykantów, pospraszal sąsiadów i sąsiadki, zabawnie opowiadał starszkom stołeczne plotki, młodym troszkę nadskakiwał, wymyślał niezwykle rozrywki, fajwerki itd. Słowem ożywił wszystkich i wszystkich. Ponury, mroczny dwór Łuczynowów przemienił się nagle w pełne życia i światła zaczarowane domostwo, o którym zaczęła mówić cała okolica. Ta nagła zmiana niektórych zdziwiła, wszystkich uradowała. Zaczęły się rozchodzić przeróżne wieści. Ludzie, którzy znali się na rzeczy, powiadali, że Wasilija Iwanowicza trapiła dotąd jakaś ukryta troska, że rysowała się przed nim możliwość powrotu do stolicy... Ale co było istotną przyczyną tej nagłej zmiany — tego nikt nie wiedział.

Olga Iwanowna — moi panowie — była to osoba dość urodziwa. — Zresztą uroda jej polegała bardziej na niezwykle delikatnej i świeżej cerze, na pełnych wdzięku, harmonijnych ruchach niż na klasycznych rysach. Natura obdarzyła ją pewną oryginalnością. Wychowanie — Olga była sierotą — rozwinęło w niej przeczność i stanowczość. Nie należała do rzędu cichutkich, wątych panienek. Ale tylko jedno uczucie dojrzało w niej w pełni — nienawiść do swojego dobroczyńcy. Zresztą inne, bardziej kobiece namiętności mogły zapłonąć w duszy Olgi Iwanowny z niebywałą siłą... ale Olga nie miała w sobie ani owej chłodnej dumy, ani owej mocy ducha, ani też owego ambitnego skupienia się w sobie, bez których wszelka namiętność znika bardzo szybko. Pierwsze porywy takich na poły rozbudzonych, na poły skazanych na cierpienie serc bywają czasem niezwykle gwałtowne, ale niebawem szybko gasną, zwłaszcza gdy sprawa dochodzi do tego, że należy podporządkować się ogólnie przyjętym zasadom. Tacy ludzie lękają się konsekwencji. Muszę przyznać zupełnie szczerze, moi panowie, że takie właśnie kobiety wywierają na mnie szczególnie silne wrażenie... (Mówiąc to opowiadający wychylił duszkiem szklanek wody. — E... tam! — pomyślałem, patrząc na jego zaokrąglony podbródek — na ciebie, miły przyjacielu, nie, ale to nic, nie może wyrzucić „szczególnie silnego wrażenia”).

Piotr Fiedorowicz ciągnął dalej:

— Moi panowie, wierzę w dobrą krew, w rasę. W żyłach Olgi Iwanowny płynęło więcej dobrej krwi niż na przykład w jej przybranej siostrze — Natalii. Zapytacie mnie cóż takiego świadczyło o tej „krwi”? Wszystko: zarys rąk, warg, dźwięk głosu, spojrzenie, chód, uczesanie — wreszcie choćby fałdy sukni. W tym wszystkim kryło się coś szczególnego, choć muszę przyznać, że ta... jakby to powiedzieć?... *distinction*, która cechowała Olę Iwanownę nie zwróciłaby uwagi Wasilija, gdyby Wasilij spotkał Olę w Petersburgu. Natomiast na wsi, na odludziu, Olga nie tylko zwróciła jego uwagę, ale w ogóle była jedyną przyczyną owej zmiany o której już mówiłem.

Pomyślcie tylko sami, moi panowie! Wasilij Iwanowicz lubił rozkoszować się życiem, musiał zatem nudzić się na wsi. Jego bracia byli to pocziwi chłopcy, ale bardzo ograniczeni. Wasilij nie miał z nimi nic wspólnego. Siostra Natalia w ciągu czterech lat małżeństwa urodziła czworo dzieci. Między nią i Wasilijem była przepaść... Anna Pawłowna chodziła do cerkwi, modliła się,

pościła i przygotowywała na śmierć. Zostawała tylko Olga, świeża, nieśmiała, miła, dziewczęca... Wasilij z początku nie zwrócił na nią uwagi... Zresztą któż zwraca uwagę na wychowaną, na sierotę? Pewnego razu, w pierwszych dniach wiosny, Wasilij przechadzał się po ogrodzie i ścinał trzcinką główki cykorii, tych głupich żółtych kwiatków, które w ogromnej ilości pierwsze kwitną na ledwie zieleniejących łąkach. Wasilij przechadzał się przed domem. W pewnej chwili podniósł głowę i ujrzał Olę Iwanownę. Siedziała przy oknie, profilem, i w zamyśleniu spoglądała na kotka, który pomrukując i mrużąc ślepią ułożył się wygodnie na jej kolanach i z wielkim zadowoleniem wystawiał mordkę na promienie wiosennego, dość już silnego słońca. Olga Iwanowna miała na sobie białą, poranną suknię z krótkimi rękawami. Jej obnażone, bladorożowe, nie całkiem jeszcze pełne ramiona i ręce tchnęły świeżością i zdrowiem. Mały czepeczek z lekka opasywał jej gęste, miękkie, jedwabiste loki. Na jej twarzy widniał rumieniec; wszystko świadczyło o tym, że Olga niedawno zbudziła się ze snu Delikatna, gibka szyja tak wdzięcznie podawała się do przodu, a nie zasznurowany stan tak czarująco i wstydliwie unosił się za każdym oddechem, że Wasilij Iwanowicz (wielki znawca!) mimo woli się zatrzymał i zaczął się przyglądać. Nagle przyszło mu na myśl, że nie należy pozostawiać Olgi Iwanowny w stanie jej naturalnej pierwotności, że z czasem może z niej wyrosnąć miła i czarująca kobieta. Podkradł się do okna, wspiął się na palce i wycisnął pocałunek na białym, gładkim ramieniu Olgi Iwanowny, tuż poniżej łokcia. Olga krzyknęła i zerwała się z miejsca, kotek wziął ogon pod siebie i skoczył w ogród; Wasilij Iwanowicz z uśmiechem przytrzymał dłoń Olgi... Zarumieniła się aż po same uszy. Zaczął żartować z jej przestraszonych. Prosił, by poszła z nim na spacer, ale Olga Iwanowna przypomniała sobie nagle niedbałość swojego ubioru i szybciej niż bystronoga lania wybiegła do sąsiedniego pokoju.

Tego samego dnia Wasilij pojechał z wizytą do Rogaczewów. Nagle poweselał i twarz mu się rozjaśniła. Bynajmniej nie zakochał się w Oldze, o nie! Nie należy igrać słowem „miłość”... Znalazł po prostu zajęcie, postawił sobie pewien cel do osiągnięcia i cieszył się z tego jak człowiek, który lubi być czymś zajęty. Nie pamiętał nawet o tym, że Olga jest wychowaną jego matki i że ma narzeczonego. Ani przez chwilę się nie oszukiwał. Wiedział doskonale, że Olga nie może nigdy zostać jego żoną... Może miał na swoje usprawiedliwienie namiętność — co prawda niezbyt szlachetną, niezbyt uczciwą, ale w każdym razie dość silną namiętność, która go nękała. Oczywiście nie zakochał się jak chłopiec, nie oddawał się jakimś nieokreślonym zachwytem; wiedział świetnie, czego chce i do czego dąży. Wasilij Iwanowicz potrafił przyzwyczaić do siebie w krótkim czasie każdego człowieka, choćby ów człowiek był do niego usposobiony jak najgorzej lub też był bardzo nieśmiały. Niebawem Olga przestała od niego stronić. Wasilij Iwanowicz wprowadził ją w świat całkiem dla niej nowy. Sprowadził klawikord, dawał jej lekcje muzyki (sam dobrze grał na flecie), czytał jej książki, prowadził z nią długie rozmowy... Biedna dziewczyna, wychowana na odludziu, wkrótce straciła głowę; Wasilij opamietano ją całkowicie. Potrafił rozmawiać z nią o tym co dotychczas było jej zupełnie obce, i rozmawiał z nią językiem dla niej zrozumiałym. Olga z wolna zaczęła mu opowiadać o swoich uczuciach. Wasilij pomagał jej, podpowiadał słowa, których jej brakowało, ośmielał ją, to powstrzymując, to znów kazać, by folgowała swoim porywom... Zajmował się jej wychowaniem bynajmniej nie dlatego, że bezinteresownie pragnął rozbudzić w niej i rozwinąć jej inteligencję. Po prostu chciał, by się trochę do niego zbliżyła, a przy tym wiedział, że niedoświadczoną, nieśmiałą, ale ambitną dziewczynę łatwiej uwieść przy pomocy rozumu niż serca. Gdyby nawet Olga była jakąś niezwykle istotą, Wasilij nie mógłby tego zauważyć, ponieważ obchodził się z nią jak z dzieckiem. Ale wiecie już, moi panowie, że Olga nie miała w sobie nic szczególnego, nie była wcale jakąś niezwykle istotą. Wasilij starał się w miarę możliwości oddziaływać na jej wyobraźnię i Olga często wychodziła od niego wieczorem mając w głowie taką zawieruchę nowych obrazów, słów i myśli, że w żaden sposób nie mogła zasnąć aż do świtu i smutno wdychając bezustannie przyciskała rozpalone policzki do chłodnych poduszek lub też wstawała, podchodziła do okna i lęklonie wpatrywała się w ciemną dal. Myśl o Wasilijem wypełniała każdą chwilę jej życia. O nikim innym nie mogła myśleć. Niebawem przestała zwracać uwagę nawet na Rogaczewa. Wasilij jako człowiek przebiegły i chytry nigdy nie rozmawiał z Olgą w jego obecności, tylko albo rozśmieszał go do łez, albo też urządzał jakąś hałaśliwą zabawę towarzyską, jakiś spacer wierzchem, lub nocną przejażdżkę łodzią po rzecze z lampionami i orkiestrą; słowem nie pozwalał Pawłowi Afanasjewiczowi, by się opamiętał. Jednakże pomimo całej przebiegłości Wasilija Iwanowicza, Rogaczew instynktownie wyczuł, że on, naręczony i przyszyły mąż Olgi, stał się dla niej jakby obcym człowiekiem... Ale będąc niezwykle dobry, obawiał się, by jej nie zmartwić jakimś wyrzutem, chociaż doprawdy ją kochał i niezmierznie dbał o jej przywiązanie. Gdy był z nią sam nie wiedział co mówić i tylko wszelkimi sposobami starał się jej okazywać uwagę. Minęły dwa miesiące. Olga zatraciła wszelką samodzielność, wszelką wolę; słaby i milczący Rogaczew nie mógł być dla niej podporą, zresztą Olga nie chciała nawet opierać się temu urokowi, który ją ogarnął i z zamierającym sercem padła w ramiona Wasilija...

TADEUSZ KUBIAK

PIEŚNI ŚWIĘTOJAŃSKIE

O WIANKACH

Dzwoneczki, dzwonki, dzwony
z grodów, których już nie ma,
które Wisła zalała,
których nikt nie pamięta —

A oto w mieście moim
dzwonki, dzwony na przemian,
Nawet z kwiatów tych samych
wianki wiją dziewczęta.

O ŚWIATŁOŚCI

I cóż z tego, że noc jest czarna,
jak dno skrzypiec — w dąbrowie parnej.
I cóż z tego, skoro ty jesteś
srebrną struną tej nocy czarnej.

Niechaj przyjdą spóźnione ptaki,
wszyscy, którzy nie mogą zasnąć.
Niechaj patrzą serca samotne
na tę cichą, paprotną jasność.

O SZCZĘŚCIU

Można mieć jakieś szczęście.
Można to szczęście stracić.
Można znaleźć zgubione
piórko ze skrzydeł ptasich.

Piórko niewiele lżejsze.
Piórko niewiele większe.
Leśni bogowie — dajcie
znaleźć choć takie szczęście.

O POSZUKIWANIU

Bór jest po to, by zbłądzić,
znaleźć się i po dwakroć,
po stokroć zbłądzić. Po co?
Aby znaleźć tę paproć.

Życie po to jest, aby
do tego co już było
wrócić — iść naprzód. Po co?
Aby zrozumieć miłość.

O TOBIE

I cóż z tego, że noc jest czarna,
skoro ogień płonie wśród dębów.
Jakże chciałbym, byś mogła zasnąć
z sercem sarny, z duszą gołębia.

To uparte wieczne szukanie
poza górą i poza wodą.
Jakże chciałbym, abyś mnie wreszcie
odnalazła. Choć jestem z tobą.

Dalszy ciąg nastąpi

TAJEMNICE ARCHIWÓW

„Archiwum Akt Dawnych”. Nazwa brzmi z pozoru nieatrakcyjnie, bo cóż może być właściwie ciekawego w tych grubych księgach, zawierających suche dokumenty, które powstały x lat temu w toku pracy różnych urzędów i instytucji.... Bierzymy z półki „Ksiąg referendarskich” tom oznaczony rocznikiem 1634. Otwieramy na chybił trafił i... czytamy treść długiej skargi wniesionej do sądu królewskiego przez „pocziwych ze wsi Baśnie” (t. zn. pańszczyźnianych chłopów) przeciwko „urodzonej” (t. zn. szlachciance) Barbarze Płazinie Lubaczewskiej i jej synowi Władysławowi, którzy: „...do robót niezwykłych pociągą, do więzienia sądzą y karze, iakosz iednemu brodę z ciałem oberznął, kary pieniężnej złotych czterysta wziął bezprawnie...”. Dalej już tekst staje się nieczytelny... Czas, który zniszczył dokument, zabrał bezpowrotnie, kto wie jak ciekawą jeszcze, dalszą historię.

Takich dokumentów są tysiące. Z nich właśnie współczesny uczonec czerpie bezcenne materiały do dzieł, których zadaniem jest rozproszyć mroki „minionego czasu”, oczyścić historię z fałszów burżuazyjnej nauki sławiącej dotąd „imiona świetlanych książąt, królów i hetmanów”, a zapominającej o takich „drobnostkach”, jak rzeczywiste

sożyty roślinne (np. wszelkiego rodzaju grzybki i pleśnie, których rozpoznano około 300 gatunków).

Pamiętajmy, że każdy z niszczących dokumentów jest jedynym, raz tylko zapisanym w dziejach faktem, i skoro nie zostanie utrwalony, opracowany, zabezpieczony — ginie bezpowrotnie.

Warto tu przytoczyć choćby częściową listę owych bezcennych pamiątek narodowych, które w mniemaniu magnatów i im podobnych wyznawców „świętej własności prywatnej” uważane były za — „prywatne zbiory”. Do takich zaliczali Czartoryscy i Potoccy np. oryginał Konstytucji 3 Maja, odezwy pisane przez Tadeusza Kościuszkę w obozie pod Połanćcem, nieoszacowanej wartości dokumenty dotyczące dziejów polskiego Wieku Oświecenia, Akta Rady Nieustającej wraz z kompromitującym „wielkie rodziny” materiałem dowodowym ich zdrady narodu, lub też t. zw. „Audytoriał polowy”, stanowiący niesłychanie cenny materiał do dziejów powstania 1863 r. wraz z aktami procesu Romualda Traugutta i ostatnich członków rządu narodowego...

Wszystkie te pamiątki przejęte zostały obecnie przez Naczelną Dyрекcję Archiwów Państwowych w Warszawie. Dodajmy — iż stan niektórych dokumentów jest katastrofalny. Szczególnie nieudolnie zachowane były akta pochodzące ze zbiorów Czartoryskich w Krakowie.

głądy był tylko częściowo opóźniany. Obrona pamiątek narodowych wymagała pomocy finansowej. Tej jednakże sanacyjny rząd prawie nie udzielał.

— Kredyty od rządu ludowego są tak olbrzymie, o jakich nie śmieliśmy marzyć — mówią archiwiści. Te właśnie potężne kredyty umożliwiły skuteczną obronę archiwaliów i określają stosunek rządu ludowego do całej skarbnicy tradycji i przeszłości narodu.

Jeszcze w 1949 r. Naczelna Dyrekcja Archiwów Państwowych zawarła z obecnym Instytutem Barwników i Półproduktów umowę, mającą na celu wypracowanie wspólnych metod konserwacji archiwaliów. Dwuletnie badania i doświadczenia zakończył pełny sukces.

Oto w 1951 r. w Archiwum Głównym Akt Dawnych w Warszawie (mieszczącym się obecnie w pałacu „Pod Blachą”) zainstalowano pierwszą w Polsce komorę gazową, przeznaczoną do zwalczania szkodników papieru. Komora ta jest całkowicie oryginalnym osiągnięciem polskich konstruktorów i robotników. Kilka zaledwie państw na świecie posiada podobne komory.

Komora kształtem swym podobna jest do dzwonu. Pojemność jej wynosi około 1 metra sześciennego. Czas odkazania jednej partii archiwaliów trwa około 4 godzin. Obecnie przez komorę w pałacu „Pod Blachą” przechodzą przede wszystkim najcenniejsze akta i dokumenty, które z uwagi na zaawansowany proces zniszczenia grożą całkowitym i szybkim rozpadnięciem się.

Kto wie, czy któryś z przyszłych historyków, zajmując się naszym okresem dziejowym, nie napisze takich słów: „W drugiej połowie XX wieku, w czasie gdy amerykańskie samoloty zrzucały na ziemię koreańską bomby z gazem trującym oraz insekty zarażone kulturami dżumy i cholery, w celu masowego zniszczenia brońącego bohaterów swej wolności narodu koreańskiego — w Polsce Ludowej pracowała „gazowa komora”, w której przy pomocy gazu, nazywanego „cortex”, niszczone pasożyty zagrażające pamiątkom narodowym...”

ARCHIWALIA W POSTACI TAŚMY FILMOWEJ

Olbrzymia akcja inwentaryzacyjna, mająca na celu zabezpieczenie dla dal-



Leszek Adamczyk przegląda zniszczone przez kornika te starodruki, które za chwilę pójdą do „komory gazowej”.

szego naukowego opracowania ocalonych i odnalezionych archiwaliów, prowadzona centralnie przez 70-osobowy zespół wybitnych naukowców — archiwistów, skupionych przy Naczelnej Dyrekcji Archiwów Państwowych, jest niezwykle staranna i wszechstronna. Niezależnie od akcji „odkazania dokumentów” — utrwała się je i zabezpiecza przy pomocy zdjęć mikrofilmowych. W ciągu jednego tylko 1951 roku utrwalono na filmie 249.945 dokumentów — co się równa: 8 kilometrom (!!!) taśmy filmowej.

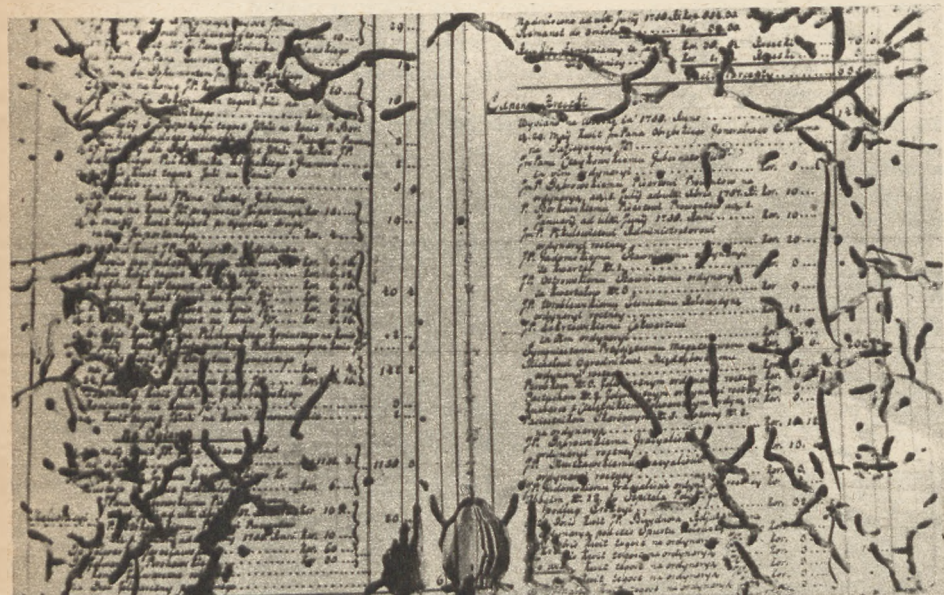
Kartoteka Naczelnej Dyrekcji Archiwów Państwowych, dotycząca np. dziejów i położenia chłopów w Polsce — należy do najlepiej zorganizowanych inwentarzy archiwalnych świata. Owocem dotychczasowej dwuletniej pracy kolektywu naukowego są 32 tysiące 903 karty inwentaryzacyjne, sporządzone w tym tylko dziale. Aby ocenić ogrom dokonanej pracy, która nie została jeszcze ukończona, a w warunkach indywidualnych wysiłków byłaby — rzecz jasna — absolutnie niemożliwa, dodajmy, że w ciągu ostatnich 10 miesięcy kolektywu najwybitniejszych paleografów przejrzał i przeanalizował około 2 i pół miliona (!!!) stron łacińskich tekstów. Gdybyśmy cyfrę tę usiłowali przemnożyć na godziny pracy, otrzymalibyśmy astronomiczną cyfrę milionów roboczogodzin. Pamiętajmy bowiem, że bardzo dobry paleograf (znawca tekstów łacińskich) czyta stronicę tekstu co najmniej pół godziny.

Drugą wybitną pracą kolektywu naukowego N.D.A.P. jest wydany w tym roku w druku „INWENTARZ MATERIAŁÓW DO RUCHU ROBOTNICZEGO W POLSCE”. Dotychczas ukazał się pierwszy tom tego monumentalnego katalogu historycznego. Obejmuje on historię lat 1867 — 1916 i dotyczy regionu Warszawy i tzw. dawnego „Generalgubernatorstwa” oraz dawnej gubernii płockiej i łomżyńskiej.

Tematy zgromadzone w I tomie „Inwentarza” są odpowiednikami materiałów zawartych w 4.000 tomów archiwalnych. Dzieło opatrzone jest ponadto skrowidzem nazwisk osób, partii i organizacji działających w wymienionym okresie. Drugi tom „Inwentarza” znajduje się w toku opracowywania i obejmuje materiały dotyczące wszystkich pozostałych rejonów Polski. Tom III stanowić będzie „Aneks” i zawierać będzie m. in. odezwy i ulotki redagowane przez partie robotnicze itp.

Bez owej olbrzymiej, mrówczej pracy legionów anonimowych uczonych-archiwistów, nie do pomyślenia byłaby dziś jakakolwiek działalność historiograficzna.

STEFAN HENEL



Długim wykazem ciągną się spisy rozchodów zboża w postaci ziarna siewnego i ordynarii. Bogaci byli obszarnicy, a nędzarze z czworaków marli z głodu i chorób.

dzieje milionowych rzesz chłopskich i robotniczych, o ich nędzy i walce, ich pracy i bezgranicznym ucisku stosowanym wobec nich przez pasożytnicze klasy społeczne.

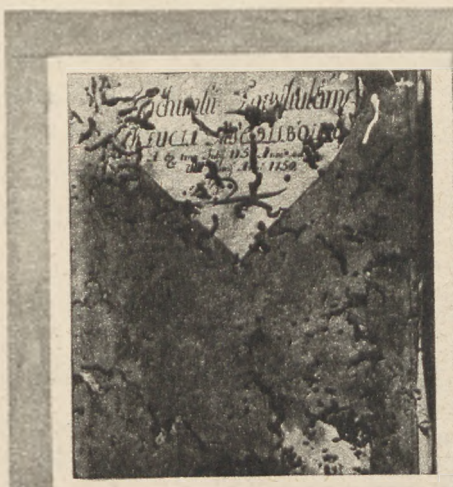
Przez setki lat piętrzyły się w mrocznych, pałacowych komnatach Czartoryskich, Potockich, Radziwiłłów „przypadkowo” zapomniane przez burżuazyjnych historyków grube księgi: foliały rachunków dworskich i rejestrów hipotecnych, skarg, petycji krzywdzonych chłopów, wyroków sądowych na buntownikach, listów gończych i raportów magnackich ekonomów o buntach chłopskich — słowem olbrzymi materiał do dziejów ucisku i wyzysku pańszczyźnianego w dawnej Rzeczypospolitej. Czas, który upływa, miał pomóc burżuazji i „jaśnie panom” do zatarcia śladów kompromitujących faktów z przeszłości.

KOMORA GAZOWA DO ODKAZANIA DOKUMENTÓW

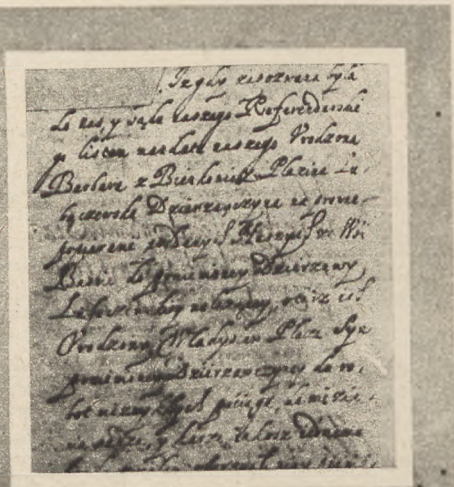
Nie wszystkie jednak archiwa dochowały się do naszych czasów. W Warszawie 85% starych ksiąg strawiły płomienie w czasie powstania. W ten sposób awanturnicza i wroga narodowi polityka reakcyjnego podziemia przyniosła jeszcze jedną szkodę: utratę niezmiennie cennych dokumentów zgromadzonych w Archiwum Akt Dawnych. Ale dzieła niszczenia archiwaliów dokonuje nie tylko barbarzyńca i wróg — dokonuje go również czas.

Trudno jest wprost wyliczyć wszystkie niebezpieczeństwa, na jakie narażony jest „starodruk”. W niesprzyjających warunkach — „papier choruje” jak człowiek. Szkodzi mu zarówno wilgoć jak i zupełny jej brak (susza). Szkodzi kurz i nadmiar lub brak światła. Szkodzą pa-

Czyżbyśmy mieli więc przypuszczać, że w okresie międzywojennym nie konserwowano archiwaliów? Nie, tak nie było. Jednakże walka z postępującym procesem niszczenia, jaką prowadzili pozbawieni pomocy ze strony sanacyjnego rządu archiwiści, prowadzona była dość prymitywnie. Sprowadzała się właściwie do częstego odkurzania foliałów i zachowywania możliwie najznośniej- szych warunków klimatycznych. Można przeto powiedzieć, że proces za-



Strona tytułowa rachunków z majątku Czartoryskich. Przeglądając je znajdziemy dowody niejednej krzywdy chłopskiej. Księgi Referendarskie, tzn. sądu działającego przy królu, zawierają najwięcej materiału dotyczącego spraw między chłopami a dzierżawcami i starostami w majątkach królewskich, tzw. królew-szczynach. Księga, z której zrobiono to zdjęcie, pochodzi z roku 1634



Wystawa szczeka

Ekspozycje stawiały się licznie — szczekając, skomląc lub wyjąc, zależnie od nastroju i potrzeb chwili. Były tam i różne owczarki — alzackie, podhalańskie oraz szkockie, były dogi, doberman, buldogi, bokser, pudle, pojawiły się pointer, wyżły, gryfony, setter, ogary, spaniele, jamniki, ląki syberyjskie, rozliczne terriery, mandżurskie czau-czau oraz pekińczyki, buldożki francuskie i ratlerki — jednym słowem te czworonogi, które od wieków żyją obok człowieka, łaszą się lub warczą, machają ogonem (jeżeli go mają) i przywiązują się swym wiernym, psim sercem. Razem — 349 psów rasowych, z czego 108 owczarków alzackich. Licznie obeszła V Ogólnokrajową Wystawę Psów Rasowych w Warszawie największa w Polsce hodowla owczarków alzackich „Dolina Księżyca” w Pyskowicach na Dolnym Śląsku, prowadzona przez niewidomego i sparaliżowanego ob. Romana Juraszka, który, mimo swego kalectwa, jest zamiatanym hodowcą i wyczulonymi palcami pilnie „śledzi” rozwój swych psich wychowanków, miłych i wiernych przyjaciół człowieka.



...odmówić i nie pożałowaliśmy decyzji, jakkolwiek już na wstępie wpadliśmy na nieporozumienie towarzyskie między owczarkami podhalańskimi a ich konkurentem.



Chodźcie wraz ze mną na V Ogólnokrajową Wystawę Psów Rasowych w Warszawie — zaszczekał nam owczarek szkocki-collie imieniem „Bart”. Nie mogliśmy mu...



„W pałacu cesarskim w Pekinie taki skandal nigdy by się nie zdarzył — prawda?”



„W rozgardiaszu nabawiłem się mi-greny — takie to już moje psie życie”.



„Między nami jamnikami: podobno im jesteśmy dłużsi — tym lepsi, ale znowu nie powinni nas oceniać tylko według metrażu, ale i innych psich zalet”.



WYSTARTOWALI! PIĘDZIESIĄT TYSIĘCY WIDZÓW OBSERWUJE REGATY Z WARSZAWSKIEGO BRZEGU.

MOKRE ZAWODY



Ślizgacz jest szybki jak strzała — najmniejsza niezręczność spowodować może zimną, przymusową kąpiel...



Zwycięzcą został Tadeusz Chybowski. Sportowcy byli zaskoczeni jego wyczynem, bo na pół godziny przed startem wywrócił się pechowo, wpadając do wody. Dzięki pomocy kolegów zdążył jednak na start i... wygrał zawody.

ZACZEŁO się od niespodzianki. Na pół godziny przed startem komisja regatowa otrzymała meldunek:

— Ślizgacz nr 7 wywrócił się!
50 tysięcy widzów, zgromadzonych na obu brzegach Wisły, postawiło przysłowiową kropkę na pechowym numerze 7, należącym do mistrza Polski w kategorii ślizgaczy A-250 cm — Tadeusza Chybowskiego. Wiadomo bowiem ile czasu i wysiłku wymaga oczyszczenie i wysuszenie motoru!

Skończyło się również na niespodziance: Tadeusz Chybowski wygrał zawody, zdobywając po raz drugi przechodni puchar „Expressu Wieczornego”. Można śmiało powiedzieć, że zatriumfował tutaj duch zespołowości i solidarności sportowej; skoro bowiem o przedstartowym wypadku Chybowskiego dowiedzieli się jego koledzy klubowi („Kolejarz”), natychmiast stawili się na przystani, błyskawicznie rozkręcili i wysuszyli motor i podnieśli na duchu zmoczonego faworyta.

Zresztą — jak się okazało — gorzej się wywraca, kto się później wywraca... Najgroźniejszym przeciwnikiem Chybowskiego był Balicki, zawodnik z klubu „Budowlani”, prowadzący ślizgacz nr 12. Przez pierwsze trzy okrążenia „dwunastka” zdecydowanie przodowała, aż „wysypała” się na ostrym wirażu koło mostu Poniatowskiego. Taki to już mokry sport! Ale i w tym wypadku ujawnił się piękny gest sportowego koleżeństwa: zawodnikowi pośpieszyła z pomocą łódź nr 4. Fronczak z „Kolejarza” wolał stracić cenny punkt, niż pozostawić kolegę w przykłej sytuacji.



PIĘĆ PORAŻEK AGRESORÓW

Dokończenie ze str. 7

reańskich i chińskich. W jednym tylko obozie na wyspie Kożedo Amerykanie zamordowali dotychczas około 10 tysięcy jeńców. Równocześnie wzorem hitlerowskich bandytów Amerykanie dokonują na jeńcach wojennych barbarzyńskich doświadczeń atomowych i bakteriologicznych. Wobec zdecydowanego oporu jeńców, amerykańscy oprawcy stosują niesłychany terror. 9 czerwca 1952 r. zamordowanych zostało w sektorze 76 obozu Kożedo — według oficjalnych danych — 32, a rannych przeszło 100 jeńców. Jak oświadczył cynicznie zbójce komendant obozu, gen. Boatner: „Jeśli ma już płynąć krew, to niech się leje strumieniami”.

Ale ani zarażone pchły i pluskwy, ani barbarzyństwa dokonywane na bezbronnych jeńcach wojennych nie zdołały złamać oporu bohaterskiego narodu koreańskiego. Epidemie zduszone zostały w zarodku, a zbrodnie na Kożedo wzmogły jeszcze gniew uczciwych ludzi na świecie przeciwko amerykańskim barbarzyńcom. I to jest piąta porażka Waszyngtonu w Korei.

AWANTURA, KTÓRA MOŻE SIĘ SKOŃCZYĆ TYLKO KLĘSKĄ AGRESORÓW

25 czerwca 1952 roku mija druga rocznica rozpętania przez amerykańskich imperialistów krwawej wojny w Korei. Jaki jest bilans wojskowo-polityczny tych dwóch lat? Po roku walk front ustabilizował się w maju w rejonie 38 równoleżnika. Równocześnie dwa lata walk przyniosły agresorom olbrzymie straty. Według danych sztabu generalnego Koreańskiej Armii Ludowej, w ciągu 17 miesięcy wojny ogólne straty wojsk interwencyjnych wyniosły około 779.000 zabitych, rannych i wziętych do niewoli. W okresie tym zabitych zostało około 390 tysięcy napastników, w tym 180 tysięcy Amerykanów. Od tego czasu minęło 7 miesięcy, w czasie których straty agresorów przekroczyły dalsze 300 tysięcy żołnierzy. Prasa amerykańska podaje oczywiście niższe niż w rzeczywistości cyfry własnych strat, bojąc się reakcji własnego społeczeństwa. Według oficjalnego komunikatu amerykańskiego Ministerstwa Wojny, podanego przez organ armii amerykańskiej „Stars and Stripes” z dnia 9 maja 1952 roku — straty Amerykanów w Korei wyniosły do dnia 1 maja 1952 roku — 108.172 żołnierzy i oficerów wszystkich trzech rodzajów broni.

Olbrzymie są również straty poniesione przez Amerykanów w sprzęcie i materiale wojennym. Według niepełnych danych, w ciągu dwóch lat wojny agresorzy stracili około 3.000 samolotów, z górą 180 okrętów wojennych, 3.000 czołgów i samochodów pancernych, blisko 8.000 dział różnego kalibru, niezliczoną ilość karabinów maszynowych i ręcznych oraz wszelakiego sprzętu.

Kłęski poniesione na frontach i nacisk opinii świata zmusiły dowództwo amerykańskie do podjęcia przed rokiem rokowań na temat rozejmu. Jednakże ciągle sabotowanie pertraktacji przez przedstawicieli USA ujawniło światu, że Stany Zjednoczone nie chcą pokoju, nie chcą zawieszenia broni. Rokowania miały jedynie posłużyć agresorom do przerzucenia na Koreę nowych oddziałów wojska, do przygotowania nowej straszliwej zbrodni — wojny bakteriologicznej. Ujawnił to szef wydziału chemicznego amerykańskiego sztabu generalnego, osławiony gen. Bullene: „Jest rzeczą oczywistą, że na to, aby stosować wojnę bakteriologiczną trzeba najpierw ustabilizować front, ponieważ bakterie mogłyby się przemieścić na własny teren operacyjny”.

Równocześnie barbarzyńska wojna w Korei przyniosła dotkliwą porażkę amerykańskiej polityce zagranicznej. Jak przyznaje znany prawicowy publicysta francuski Servan - Schreiber na łamach „Paris Presse” — wojna koreańska „staje się w oczach amerykańskiej opinii publicznej tak samo brudną wojną, jak wojna indochińska dla Francji”.

W ciągu dwóch lat wojny koreańskiej amerykańscy agresorzy przekonali się na własnej skórze, że nie łatwo jest ujarzmić wolne narody. Podjęta dwa lata temu próba podboju Korei i ujarznienia narodu koreańskiego doprowadziła agresorów do klęski. Jest to klęska nie tylko wojskowa, jest to klęska faszystowskiej ideologii amerykańskiego imperializmu, klęska amerykańskich marzeń o panowaniu nad światem.

JÓZEF SOŁTYS

Drodzy Czytelnicy!

Obecnie coraz częściej spotykać się będziemy, t.zn. Wy, Drodzy Czytelnicy, i „Świat” — w miejscowościach wczasowych, w górach, nad morzem, czy nad jeziorami.

Będziemy mieli więcej czasu (w tym wypadku raczej Wy) na staranniejsze czytanie prasy, a więc i na bardziej krytyczny stosunek do poszczególnych pozycji reportaży i artykułów. Pragniemy z tej okazji skorzystać, prosząc Was już dzisiaj o możliwie obszerniejsze uwagi i ocenę, nasuwające się Wam po lekturze naszego tygodnika, w czasie wolnych godzin wczasowych.

Jesteśmy również przekonani, że napisiecie o dobrych i złych stronach Waszych wczasów, o brakach organizacyjnych lub też o nienagannym przygotowaniu domów wczasowych, w których znaleźliście miłe rozrywki i zdrowy wypoczynek.

Drodzy Czytelnicy, pomyślcie zapewne, że to wszystko bardzo ładnie, będziemy pisali, owszem..., ale co „Świat” nam szykuje ciekawego w związku z okresem wczasów. Nie będziemy więc gołosłowni — i od razu zdradzimy Wam nasze zamiary. W najbliższym czasie zamieścimy kilka reportaży z ośrodków wczasowych, aby ci, którzy nie zdecydowali się jeszcze w wyborze miejsca — mogli zorientować się w warunkach zdrowotnych, turystycznych i mieszkaniowych w określonych miejscowościach wypoczynkowych. Reportaże te uwzględnią również mniej znane ogółowi historyczne dane, dotyczące tych okolic, i zwrócą uwagę na pamiątki, które warte są obejrzenia. Myśl o zamieszczaniu takich reportaży podsunął nam Czytelnik z Wrocławia, ob. T. Stokowski.

„Niewątpliwie ma swój urok — pisze ob. Stokowski — t.zw. podróż w nieznane, ale z wielu powodów dobrze jest jednak wiedzieć co cię czeka, wczasowiczu, w Międzyzdrojach, Szklarskiej Porębie czy Krynicy. Oczywiście nie można przewidzieć pogody, towarzystwa wczasowego i jakości kuchni, ale można z góry wiedzieć, co jest interesującego w danej okolicy, dokąd warto zrobić wycieczkę i jaka historia wiąże się z tym czy innym miejscem”.

A więc realizujemy pomysł ob. Stokowskiego, aby podróż w „znane” miała również swoją atrakcyjność i była w pełni wykorzystana przez naszych Czytelników.

*

Ob. Lamowa z Warszawy nadesłała nam następujący list:

„Wiadomo wszystkim, że pociągi dalekobieżne, wychodzące z Warszawy, podstawiane są na tory godzinę przed odjazdem. Dlaczego zatem pociąg wychodzący z Warszawy, z Dworca Wschodniego, o godz. 8.30 do Elbląga, zajeżdża na tor „C” (z którego odchodzi) na 10 minut przed odejściem?

Na peronie tłok, wszyscy zdenerwowani, a pociąg najspokojniej stoi na torze „A”. Gdy się zorientowano, zaczęła się galopada w dół po schodach. Za późno jednak! Ponieważ pociąg majestatycznie ruszył z toru „A”, by za kilkanaście minut wjechać na tor „C”. Znowu galopada na górę, tłok nie do opisanego, nawoływania, soczyste słowa, płacz dzieci i wreszcie „po trupach” dopadanie miejsc.

Panie Redaktorze, proszę mi wytłumaczyć, komu na tym zależy, żeby podróżny, który ma przed sobą kilku lub nawet kilkunastogodzinną jazdę, już na samym jej początku był tak zmęczony i zdenerwowany, że wrogiem mu jest każdy jego współtowarzysz, któremu przy pomocy łokci, walizy, a czasem nóg, udało się zająć np. miejsce „przy oknie”. Tym bardziej, że to wszystko dzieje się w okresie wczasów, w okresie najintensywniejszego ruchu pasażerskiego”.

Sądzymy, że wyjaśnienie w tej sprawie otrzymamy z Dyrekcji Kolei w Warszawie.

*

Dla ułatwienia segregacji napływających do Redakcji listów, prosimy Czytelników, kierujących korespondencję do naszego działu, o zaznaczanie na kopercie „Dział listów”.

„ŚWIAT”

SWIAT

TYGODNIK ILUSTROWANY
Redaguje Komitet
Wydawca: R.S.W. „PRASA”

Redakcja: Warszawa, Nowy świat 58. Telefony:
Red. Naczelny: 6-10-69. Centrala 6-11-81, 6-12-88.
Administracja: Warszawa, Wiejska 12, tel. 7-52-50.
Prenumerata miesięczna zł 4.—, — kwartalna
zł 12.—, półroczna zł 24.—, roczna 48.—.

Zakłady Włókiendrukowe i Introligatorskie
RSW „Prasa” — Warszawa, Okopowa 58/72
Zam. 391 Pap. rotogr. V/80-82 cm. 3-B-18741

SWIAT

o tym wie!

TE SAME GESTY, TE SAME CHWYTY...

Dziennikarz amerykański Leo Lania, sympatyzujący z niemiecką socjaldemokracją (SPD), tak opisuje na łamach reakcyjnego miesięcznika „United Nations World” swe wrażenia z zetknięcia się z osławionym przywódcą SPD, Kurtem Schumacherem:



„...przejął on terminologię Hitlera, jego wrzaskliwy sposób mówienia, jego gesty i aktorskie chwytły. W tego rodzaju przemówieniach nie ma miejsca na łagodność, rozsądek czy perswazję. Schumacher szczerka jak sierżant SS.

„Te gwałtowne mowy przyniosły Schumacherowi sporo szkody... Jest on potępiany jako demagog i, co bardziej istotne, jako nieuleczalny szowinista, który występując w socjalistycznym przebraniu, podsycza żądze agresywnego nacjonalizmu germańskiego”.

KSIAŻKA I AUTOR W USA

Z egzemplarza nowej powieści Howarda Fasta p. t. „Spartacus”, wydanej niedawno w Nowym Jorku, wypada niewielka kartka:

The author, who is also the publisher of this book, would appreciate any comments the readers might care to make. Also, since many normal channels of distribution are closed to him, he suggests that copies of SPARTACUS, either singly or in quantity, may be ordered by writing to him directly. Book stores will receive a normal discount.

HOWARD FAST
BOX 171, PLANETARIUM STATION, NEW YORK 24, N. Y.

W przekładzie:

Autor, który jest równocześnie wydawcą niniejszej książki, prosi czytelników o nadsyłanie wszelkich uwag, jakie pragnęliby na jej temat poczynić. Równocześnie zaś, ponieważ wiele normalnych dróg kolportażu zostało autorowi uniedostępnionych, przeto prosi on, by egzemplarze „Spartacusa”, zarówno pojedyncze jak i w większych ilościach, zamawiano wprost u autora. Księgarnie otrzymują normalny rabat.

HOWARD FAST
(adres)



Czyli, krótko mówiąc, Howard Fast musiał wydać swą najnowszą powieść własnym nakładem, gdyż żaden wydawca amerykański nie chciał się tego podjąć. Musi on również zajmować się osobiście rozprzedażą dzieła. Howard Fast znalazł się bowiem na „czarnej liście”, na którą wydawcy amerykańscy, w porozumieniu z FBI i t. zw. Komisją Badania Działalności Antyamerykańskiej, wpisują postępowych autorów, by uniemożliwić im działalność pisarską. W związku z tym spalono też nierozsprzedane egzemplarze poprzedniej powieści Fasta, znajdujące się w magazynach firmy wydawniczej „Signet”.

Oto jeszcze jeden przyczynek do historii amerykańskiej „demokracji”.

NAJLEPSZE TRADYCJE

Przedstawiciel reakcyjnego tygodnika brytyjskiego „Everybody’s” uzyskał wywiad u nowomianowanego przez Adenauera „ambasadora” Bonn w Londynie, niejakiego Hansa Schlange-Schoeningera. Dziennikarz pisze, że „ambasador” urodził się „na zamku pomorskim w rodzinie junkrów pruskich” i że należał do grupy konserwatywnych polityków, której przewodził osławiony polakożerca — Treviranus. Na tle tych wszystkich faktów, dziennikarz brytyjski stwierdza: „Zdałem sobie sprawę, iż ów człowiek, wierzący w nowe Niemcy i lepszy świat, jest tworem najlepszych tradycji niemieckich”.



Słusznie. Junkier pruski, zaprawiony w walce z polskością, wierzy przecież w te same „nowe” Niemcy i „lepszy” świat co Mr. Churchill. Z takimi „najlepszymi tradycjami” dogadają się zawsze!

STARA HISTORIA

„Latające talerzyki” znowu pojawiły się na szpaltach prasy amerykańskiej. Widziano je pono w stu miejscach na raz, od Kalifornii po Nowy Jork i, jak doniosły pisma amerykańskie, lotnicy USA zaobserwowali „czerwone, świecące krążki” podczas nocnych lotów na Korei. Najwidoczniej spece od propagandy orzekli, że napięcie historii w Stanach Zjednoczonych nieco osłabło i wymaga jakiegoś potężniejszego zastrzyku środków podniecających. „Latające talerzyki” są wypróbowanym środkiem wzniecania paniki.

Tymczasem pewien dociekliwy Amerykanin, pospierałszy nieco w rocznikach starych gazet, dokonał niezmiernie pouczającego odkrycia. Oto pięćdziesiąt lat temu Stany Zjednoczone przeżywały już podobny obłęd. Porównanie ówczesnych doniesień prasowych z obecnymi wystarczy, by przekonać się, że mamy do czynienia z identyczną psychozą.

Wtedy zaczęło się w Kalifornii. W dniu 22 listopada 1896 roku wieczorem pasażerowie tramwaju w Oakland dostrzegli „duży przedmiot” poruszający się po niebie ze znaczną szybkością i „jaskrawo oświetlony”. Jak donosiła „Oakland Tribune”, następnego dnia: „Gdy przedmiot ten zauważono po raz pierwszy, przelatował on nad San Leandro. Przeleciał po niebie w kierunku północno-zachodnim, poczem zawrócił gwałtownie i znikł nad Hayward”.

W roku 1896 nie było jeszcze samolotów, znane były jedynie balony. Tajemniczy przedmiot określono mianem „statku powietrznego” i przypisywano mu złowrogie właściwości. Z prasy ówczesnej wynika, że owe „statki powietrzne” zachowywały się zupełnie tak samo, jak dzisiejsze „latające talerzyki”. Pojawiały się nagle nad jakąś miejscowością, przelatwały, jaskrawo świecąc, poczem zwracały i ginęły bez śladu. W roku 1896 i 1897 tajemnicze zjawisko zaobserwowano w dziesiątkach miejscowości amerykańskich. Dnia 10 kwietnia 1897 roku „New York Herald” podał szczegółowy opis pojawienia się owego „statku powietrznego” nad Chicago. Oto nagłówki gazety z tego dnia:

THAT AIRSHIP NOW AT CHICAGO

City Excited by the Appearance of
Rapidly Moving Lights
in the Sky.

ASTRONOMERS INCREDULOUS

They Believe That the Lights Proceed
from a Star in the Constellation of Orion.

IS A DIRIGIBLE BALLOON.

So Says Secretary Max Harnar, of the
Chicago Aeronautical Association.

[BY TELEGRAPH TO THE HERALD.]
[Chicago, Ill., April 10, 1897.—For weeks dispatches have been coming in from various points between here and California —

Co oznacza:

STATEK POWIETRZNY TERAZ NAD CHICAGO
Miasto Podniecone Pojawieniem się Szybko Poruszających się Światła na Niebie

SCEPTYCZNI ASTRONOMOWIE
Przypuszczają, że Światła Pochodzą z Gwiazdy w Konstelacji Oriona

TO STEROWANY BALON
Tak Twierdzi Max Harnar, Sekretarz Chicagowskiego Stowarzyszenia Aeronautycznego

„Statki powietrzne” prześladowały Amerykanów przez cały rok 1897, po czym sprawa jakoś przycichła. Aż w roku 1947 „latające talerzyki” zaczęły straszyć po nocach ludność Stanów Zjednoczonych. Wygląda na to, że jakiś pomysłowy pismak wygrzebał po prostu starą budę dziennikarską i puścił znowu w świat.



TANIO i ŁADNIE

— Dokąd wyjeżdżamy na urlop?

— Nad morze... w góry... To znaczy, na dziesięć zapytanych kobiet, przynajmniej osiem odpowie: „nad morze”, a dwie: „w góry”. Te dwie to będą albo świeżo upieczone maturzystki z zacięciem sportowym — albo też panie po trzydziestce, które rozumieją, że nie tak nie konserwuje urody jak racjonalnie uprawiany sport.

Bez względu więc na to, dokąd udamy się na urlop, pa-

miętajmy: żeby naprawdę wypocząć, należy prowadzić jak najbardziej higieniczny tryb życia. To znaczy wcześniej wstawać i wcześniej chodzić spać, przebywać możliwie najwięcej na powietrzu i — nad morzem pływać, w górach zaś chodzić, chodzić na wycieczki! (Oczywiście nie samodzielnie, ale pod opieką przewodników z Ośrodka Wczasów czy też Towarzystwa Tatrzańskiego).

Jak się ubierać na wczaj-

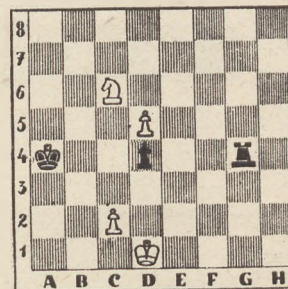
sach? Z sensem. To znaczy na wycieczki górskie nie wkładać pantofli na wysokich obcasach i kłosowych sukien — ale spodnie i sportowe pantofle. Nad morzem zaś pamiętać o tym, że kostium do opalania może być bardzo „oszczędny” ale do pływania już mniej i koniecznie welniany.

I jeszcze jedno: na urlopie ograniczamy postępowanie się kosmetykami — skóra twarzy też ma prawo do urlopu.



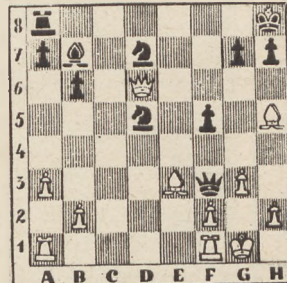
SZACHY

ZADANIE A 37



Bracia W. i M. Platow
Białe zaczynają i wygrywa-
ją.

ZADANIE B 38



W partii Utiaganow — Kowalow (finał wszechrosyjskiego turnieju szachistów wiejskich, 1949 r.), po posunięciach 18... Gb7 19. d5 S:d5 20. Gh5 powstała pozycja, uwidoczniła na powyższym diagramie. Czarne zamatawały przeciwnika krótką, efektywną kombinacją. Jaka to kombinacja?

PARTIA NR 29

grana podczas turnieju międzynarodowego pamięci G. Maroczy w Budapeszcie.

partia katalońska

białe: Keres (ZSRR)

czarne: Platow (NRD)

1. d2—d4 Sg8—f6 2. c2—c4 e7—e6 3. g2—g3 d7—d5 4. Gf1—g2 d5:c4.

Tak właśnie najlepiej bronić się czarnym w partii katalońskiej. Po 4... Ge7 5. Sf3 0—0 6. 0—0 Sbd7 białe mają większą swobodę ruchu.

5. Hd1—a4+.

Posunięcie to uchodzi za najlepszą w tej pozycji kontynuację dla białych, gdyż po 5. Sf3 c6 6. Se5 Gb4+ 7. Sc3 Sd5 8. Gd2 b5 białe mają trudności z odegraniem piona.

5... Sb8—d7 6. Ha4:c4 a7—a6 7. Hc4—c2 c7—c5 8. Sg1—f3 b7—b5 9. a2—a4 Gc8—b7 10. 0—0 Wa8—c8 11. a4:b5 a6:b5 12. Hc2—b3 Hd8—b6 13. Sb1—a3 Gb7—a6?

Na skutek tej omyłki czarnych białe mają możliwość doprowadzenia gry do lepszej dla siebie końcówki. Po 13... Gc6 czarne mogły niczego się nie obawiać.

14. Sa3—c4! b5:c4 15. Hb3:b6 Sg7:b6 16. Wa1:a6 Sb6—d5 17. Gc1—d2 Sf6—e4 18. Gd2—a5 c4—c3.

Czarne usiłują przeprowadzić kontratak, wykorzystując centralne położenie

swych skoczków. Jednak arcymistrz Keres nie dopuszcza do tego i sam przeprowadza atak na pozycję przeciwnika.

19. Sf3—e5 Se4—d2 20. Wf1—d1 c3—c2 21. Wd1—c1 Sd2—b3 22. Wc1:c2 Sb3:d4 23. Wc2—d2 Sd4—b3 24. Gg2:d5! Sb3:d2 25. Gd5—b7 i czarne poddały się, gdyż nie mogą uniknąć strat materialnych.

NAGRODY DLA UCZESTNIKÓW MECZU SZACHOWEGO „ŚWIAT” — CZYTELNICZ

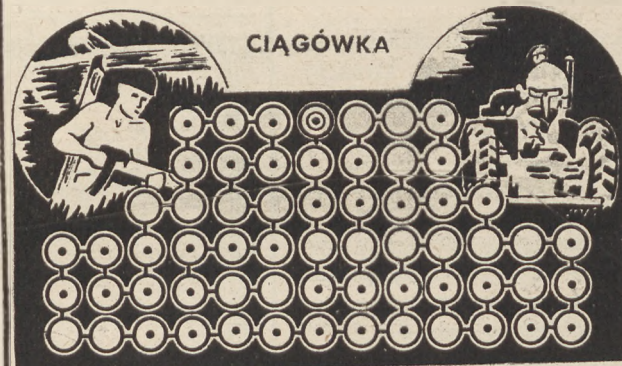
Jak już zapowiadaliśmy, nagrody dla uczestników naszego meczu zostały tym razem przydzielone w trzech grupach.

Grupa 1. Nagrody za trafność odpowiedzi otrzymują: J. Billik — Lublin, K. Mysłowski — Warszawa, T. Socha — Ciechocinek.

Grupa 2. Nagrody za wytrwałość wylosowali: J. Liebersbach — Karpacz, S. Białowski — Warszawa, W. Faiz—Dąbrowska — Zabrze, S. Dzwonek — Andrychów, W. Jaremczuk — Wrocław.

Grupa 3. Nagrody za zwerbowanie największej ilości nowych uczestników meczu uzyskali: W. Fenger — Poznań, R. Grzywiński — Elk. Nagrody wysyłamy pocztą i prosimy o potwierdzenie odbioru.

ROZRYWKI UMYŚLOWE



wak, Aluta, tonaż, zabot, bak, bohemia, unikat, ser, Lehar, pokaz, ulica, larum, hubin, agora, komik, cekin. Pionowo: filut, tytan, masaż, cebula, pasaż, powah, dukat, Opole, Atena, awizo, osada, bas, kur, epizod, lelek, harem, rumak, pałac, kubik, Zenon.

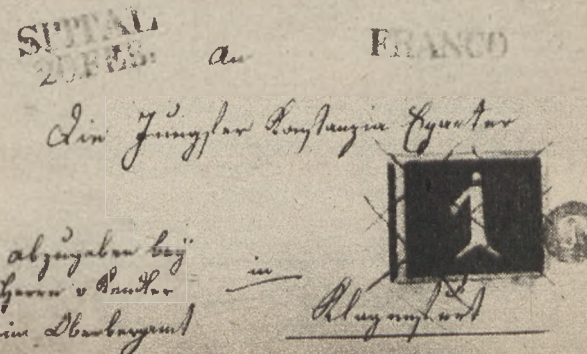
Za dobre rozwiązanie zadania z nr. 18 (41) nagrody książkowe otrzymują: 1) J. Betnerowicz — j. w., 2) S. Borkiewicz — Kielce, ul. Śniadeckich 6, 3) Z. Czapliski — Katowice, ul. Szafranka 1, 4) J. Hartwich — Ostrów Wlkp., ul. Armii Czerwonej nr. 26, 5) M. Janczevska — Poznań, ul. Słowackiego 31, 6) J. Jarosz — Kraków, ul. Krasińskiego 24b, 7) W. Klank — Podkowa Leśna, ul. Sarnia 10, 8) K. Klaput — Opole, ul. Dzierżonia 1, 9) Z. Loegler — Wrocław, ul. Jarzębinowa 24, 10) W. Mieszkowski — Warszawa, al. Jerolimskie 51, 11) Z. Perzyński — Gdańsk, ul. Polanki 97, 12) H. Pietrzykowska — Gdańsk, ul. Malachowskiego nr. 8, 13) Z. Psarska — Nłwka, ul. Mickiewicza 1, 14) C. Pszenna — cukr. Borowiczki, pow. Płock, 15) B. Rajnert — Łódź, ul. Lubelska 2, 16) M. Stankowska — Wrocław, ul. Piastowska 42, 17) S. Staś — Września, kino „Pionier”, 18) T. Szafer — Poznań, ul. Walki Mł. 28, 19) H. Szrejbroński — Leszno, ul. Lipowa 30, 20) M. Wachniewska — Chorzów, ul. Powstańców 9.

Nagrody wysyłamy pocztą i prosimy o potwierdzenie ich odbioru.

FILATELISTYKA

NAJSTARSZY ZNACZEK ŚWIATA ODNALEZIONY

Niedawno w Austrii odnaleziono najstarszy na świecie znaczek pocztowy, wydany przez pocztę austriacką w 1838 lub w 1839 roku. Znaczek ten jest cięty, posiada wartość 1 krajcara i wymiar 25×20 mm. Nalepiony jest na kopertę listu, adresowanego do „panny Konstancji Egarter w Klagenfurcie”. List nosi datę pieczęci szpitalnej (nadany został w szpitalu) 20 lutego 1839 roku.



TEATR ŚWIAT

DYREKCJA: JAN SZELAĞ DEKORACJE I KOSTYUMY: HA-GA

OBRONA DYREKTORÓW

Jednoaktówka z prologiem

Osoby: Dyrektor
Kolega
Sekretarka
Dyrektor Teatru „Świata”
Zegar

PROLOG

Redakcja „Świata”

DYREKTOR: Drogi Teatrze „Świata”, tyle już napisano słusznych i surowych rzeczy o nas — dyrektorach. Pozwól, drogi Teatrze, że za twoim pośrednictwem wyłożę szerokiej publiczności zasadniczą bolączkę naszą — szerokich mas dyrektorskich... Chciałbym, drogi Teatrze, za twoim pośrednictwem opowiedzieć, jak urzęduję, jak pracuję.

DYREKTOR TEATRU „ŚWIATA”: No cóż, zobaczymy.

AKT PIERWSZY I JEDYNY

Gabinet dyrektora

SEKRETARKA: Dziś, panie dyrektorze, taki rozkład dnia: 9 — odprawa naczelników, 10 — konferencja w centrali, tu leży przygotowany referat, który pan dyrektor ma wygłosić, 11 — rozprawy



wanie projektów nowych inwestycji, 11.15 — konferencja budżetowa, 11.30 — aktyw społeczny, 11.38 — telefon z Torunia, 11.47 — racjonalizatorzy, 12 — interesanci, 13...

DYREKTOR: Dobrze, dobrze, wystarczy, że pani panięta. Niech mnie pani zostawi samego, jeszcze muszę sobie przypomnieć ten referat i przygotować się na odprawę naczelników.

SEKRETARKA: Tak jest, panie dyrektorze (wychodzi).
DYREKTOR (38 sekund sam, czyta, przegląda papiery, coś liczy).

SEKRETARKA (wraca): Panie dyrektorze, przyszedł kolega.

DYREKTOR (już trochę nieprzytomny): Jaki kolega? Czyj kolega?

SEKRETARKA: Kolega pana dyrektora. Nie chce powiedzieć nazwiska. Powiada tylko, że jak powiem, że kolega, to pan dyrektor będzie już wiedział. Ode mnie z sekretariatu telefonował do innego kolegi

i mówił, że przyszedł sprawdzić, czy się panu dyrektorowi w głowie nie przewróciło, czy pan go przyjmie...

KOLEGA (otwiera drzwi, szeroko otwarte ramiona, jeszcze szerszy uśmiech): Serwus stary! Kopec lat! Jak się masz! Jadę sobie z Tłuszcz do Sobieszowa, a mam trzy godziny między pociągami, więc myślę sobie: zajdę, pogadam ze starym przyjacielem.

SEKRETARKA (znika).

DYREKTOR (na stronie): Naprawdę w głowie mi się nie przewróciło, muszę go grzecznie przyjąć. (Głośno, serdecznie): Świetnie zrobiłeś. Ja, co prawda, jestem trochę zajęty, ale...

KOLEGA: ...ale robota nie zając! Co? Nie ucieknij! Ha, ha, zawsze masz świetne sformułowania. Więc ja, powiadam ci (pozwól, że usiądę), jadę trochę odpocząć. W domu, powiadam ci, u mnie rozgardiasz, troje dzieci, ciotka...

SEKRETARKA (zagląda): Panie dyrektorze, panowie naczelnicy czekają.

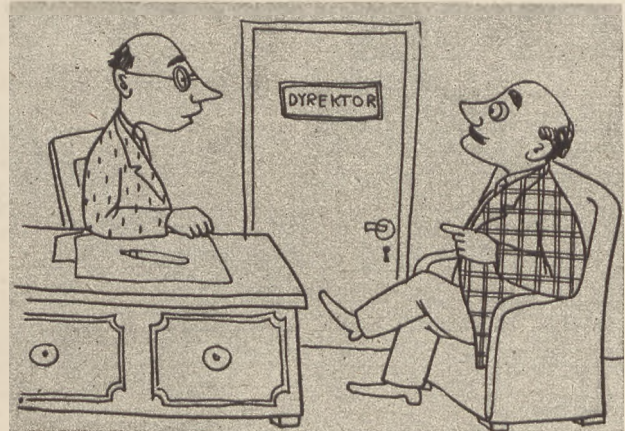
DYREKTOR (do siebie): Żeby on tylko nie pomyślał, że mi się w głowie przewróciło. (Głośno): Proszę przełożyć tę konferencję na jutro.

KOLEGA: ...więc uważasz nasza ciotka to ciekawa osoba. Wyobraź sobie...

(mija godzina)

ten marynarz miał wytatuowane...

SEKRETARKA: Panie dyrektorze, samochód czeka, za dziesięć minut konferencja w centrali.



DYREKTOR (do siebie jak poprzednio): Żeby on nie pomyślał... (Głośno): Niech pani zawiadomi, że nie mogę być.

SEKRETARKA (znika).

KOLEGA: ...więc ten niedźwiedź, wiesz, co się utopił w Tatrach w Wielkim Stawie...

(mijają dwie godziny wypełnione opowiadaniem Kolegi oraz odwołaniem rozpatrzenia projektów nowych inwestycji, konferencji budżetowej, narady z aktywnym społecznym, telefonu z Torunia, narady z racjonalizatorami).

ZEGAR (bije dwunastą).

SEKRETARKA (zagląda): Panie dyrektorze, interesanci!

DYREKTOR (na stronie): Żeby tylko nie pomyślał, że mi się w głowie przewróciło. (Głośno): Za chwilę, panno Mario.

KOLEGA: Otóż to, niech zaczekają. Więc jak ten niedźwiedź zobaczył babę... Wiesz co, kochany, ja sobie myślę, że pojadę następnym pociągami o czwartej, tak się z tobą miło gada... Nic się nie zmienisz od szkolnej ławy, swój chłop, nie to co inni... Więc na czym ja to stanąłem... Aha! Otóż samica brunatnego niedźwiedzia...

DYREKTOR (na stronie): Dosyć już chyba dałem dowodów, że mi się w głowie nie przewróciło. (Do Kolegi): Bardzo cię przepraszam, kochany, ale mam ważne sprawy, wiesz, tu ludzie zamówieni, poprzyjeżdżali z prowincji... Może się spotkamy po biurze?

KOLEGA: No wiesz! Do widzenia! Myślałem, że jesteś wyjątkiem. A ty oczywiście dla starego kolegi nie masz chwili czasu. No tak, telefony, sekretarka, gabinet, „Pobieda”, to wszystko zmienia człowieka. Rozumiesz, że cię pożegnaj i innym naszym przyjaciółom powiem, by cię unikali. Tak, tak, trzeba mocnej głowy, żeby się w niej w tych warunkach nie przewróciło...

(KURTyna).

ANECDOTY

Mark Twain odwiedził kiedyś sławnego malarza Whistlera. Przeglądając się świeżo namalowanemu przez Whistlera obrazowi, Twain powiedział: „Bardzo to piękne, ale tu stanowczo coś trzeba by...” przy czym zrobił taki gest, jakby zamierzał coś zetrzeć z obrazu. Malarz krzyknął przerażony: „Proszę nie dotykać, bo jeszcze nie wysycha”. A na to słynny humorysta: „Niech się pan nie obawia, nie powalam się — mam rękawiczki na rękach”. (s)

Lew Tołstoj, widząc raz, jak policjant niezbyt delikatnie obchodzi się z pijakiem, zawołał z gniewem do przedstawiciela władzy: „Czy umiesz czytać?” Policjant na to: „Umiem”. — „A czy czytałeś Ewangelię?” — „Czytałem”. — „To powinieneś wiedzieć,

że bliźniego nie wolno znieważać”. — „A czy pan umie czytać?” — „Umiem”. — „A czytał pan instrukcje dla stójkowych?” — „Nie, nie czytałem”. — „To niech pan nie mówi, dopóki pan jej nie przeczyta”. (s)

O socjalizmie panów Bevinów, Attlee'ch i in., Bernard Shaw miał tego rodzaju pogląd:

— Ich nadzieja, że brytyjska maszyna polityczna wytworzy w końcu socjalizm, spełni się tak, jak nadzieja, że maszyna do szycia zacznie znosić jajka. Maszyna kapitalistyczna nie może wytwarzać niczego innego, jak kapitalizm. (s)

O idealnej miłości Shaw powiedział: — Idealną miłością jest miłość listowna. (s)

Na temat demokracji w Stanach Zjednoczonych Bernard Shaw wyraził się:

— Wcale nie pragnę ujrzeć Statui Wolności. Jestem wprawdzie mistrzem ironii, ale moja zdolność ironizowania nie sięga tak daleko. (s)

Słynny kompozytor niemiecki Johannes Brahms (1833 — 1897) chętnie palił mocne cygara hawańskie. Pewien młody muzyk, który raz pomagał mu przez kilka godzin w dość trudnej pracy, otrzymał od niego, jako dowód uznania przyjacielskiego, jedno z owych drogich cygar hawańskich. Młody człowiek uszczęśliwiony wymamrotał podziękowanie i chciał schować cygaro do kieszeni.

— Czy pan nie pali? — spytał Brahms zdziwiony.

— Owszem, bardzo chętnie — odparł tamten — ale to cygaro, które podał mi Johannes Brahms, zachowam sobie na całe życie.

— W takim razie weź pan lepiej to cygaro — rzekł Brahms i podał oślepialemu młodzieńcowi inne cygaro tańszego gatunku... (jg)

Pewnego razu, gdy Samuel Goldwyn z Hollywood starał się zawrzeć ze Shawem korzystną dla siebie umowę w sprawie nakręcania filmu według jednej ze sztuk Shawa, wielki pisarz rzekł zniechęconym głosem:

— Panie Goldwyn, trudność porozumienia się leży w tym, że pan mówi wciąż o sztuce, a ja o pieniądzach. (s)

MALWY

TO JEST nazwa nowego zespołu tanecznego. Ciekawie wypaść jego pierwszy program, pokazany najpierw Krakowowi, z okazji „Dni” tego miasta.

Zaczęło się tak, że rok temu znana tancerka Stanisława Stanisławska podjęła się zorganizowania dziewczęcego zespołu tanecznego. Od początku różnił się on jednak w sposób bardzo zasadniczy od innych zespołów tego typu. Zaanalizowanych zostało 16 dziewcząt, ale wyłącznie z pośród zawodowych tancerek, a do repertuaru Stanisławska postanowiła wprowadzić, obok tańców ludowych, także i inne kompozycje taneczne, do klasycznych włącznie.

Roczną pracę przygotowała „Malwa” odbywała się w trudnych warunkach, bo zespół nie miał własnej sali i musiał wielokrotnie przerywać się z miejsca na miejsce. Ze podejście do pracy i zadań zespołu było ze strony baletmistrzyni jak najpoważniejsze, o tym świadczy nie tylko ten pełny rok przygotowań, ale także nazwiska ludzi, którzy zostali poproszeni o współpracę przy montowaniu pierwszego programu.

Wszystkie tańce od strony choreograficznej skomponowała St. Stanisławska, libretta do scen baletowych napisali — St. Stanisławska i J. Waldorff, muzykę do tańców i pieśni skomponowali — W. Maciszewski, Wł. Szpilman, Z. Wiehler. Teksty pieśni współczesnych napisali — St.



R. Dobrowolski, H. Kołaczowska, L. Pasternak i K. Winkler. W przerwach między tańcami zostaną wykonane także stare, nieznane dotąd pieśni ludowe, ze zbiorów Zakładu Badania Muzyki Ludowej PISL. Orkiestra dyrygować będzie Z. Wiehler.

Również i oprawa scenograficzna widowiska powierzona została doskonałemu specjalistom. Kostiumy zaprojektowali Z. Strzelecki i K. Wolińska, a dekoracje — J. Zaruba.

Ze swym pierwszym programem „Malwa” wyruszą w objazd po Polsce. Wszyscy więc będziemy mogli je obejrzeć i ocenić.

Afi
Fot. E. Hartwig



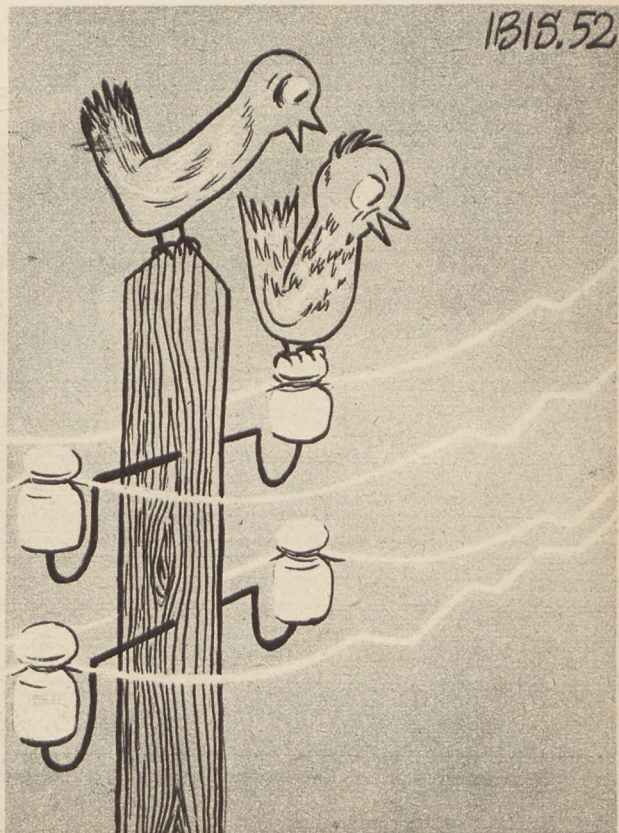
PRENUMERATA CZASOPISM POLSKICH ZE ZLECENIEM WYSYŁKI ZAGRANICĘ

Dzienniki stołeczne oraz czasopisma z różnych dziedzin

można wysyłać zagranicę, wpłacając prenumeratę w walucie krajowej.

Zamówienia na prasę polską ze zleceniem wysyłki zagranicę przyjmuje:

Biuro Wydawnictw Zagranicznych P.P.K. „Ruch”, Warszawa, ul. Koszykowa 31



— Patrz — płyną zobowiązania przedlotowe Młodych Przodowników.



MÓWIĄ, ŻE KOGOŚ PRZYPOMINAM —
CHOĆ NIE PALĘ NAMIĘTHIE GRUBYCH CYGAR.
ALE WIECIE, JAK TO LUDZIE POTRAFIĄ BYĆ ZŁOŚLIWI.
MIMO GROŻNEJ MINY, MAM CZULĘ I WIERNE PSIE
SERCE, A NA Y-TEJ OGÓLNOKRAJOWEJ WYSTAWIE PSÓW
RASOWYCH W WARSZAWIE, BARDZO SIĘ PODOBAŁEM.
PODOBIZNY MYCH KOLEGÓW ZNAJDZIECIE WEWNĄTRZ N-RU